

Cartland Barbara

Chwile miłości

Simonetta odwróciła się i spojrzała na artystę. Choć nie dostrzegła jego twarzy, bo osnuwał ją cień, miała wrażenie, że może mu zaufać i że mężczyzna nie zagaduje ją jedynie po to, by nie odeszła.

- Czy istotnie jestem panu niezbędna do namalowania obrazu? - spytała po chwili cichym głosem.

- Bez pani nigdy go nie dokończę.

- Ile czasu zajmie panu przeniesienie mnie na płótno?

- Niedużo. Kiedy stanęła pani w świątyni z rozpostartymi ramionami, cała kompozycja nabrała życia. Przedtem była martwa i wiedziałem, że czegoś jej brakuje. Teraz wiem, że brakowało w niej pani!

ROZDZIAŁ 1

1880

Lady Simonetta Terrington-Trench wbiegła po schodach wielkiej rezydencji, w której mieszkała od urodzenia, i wpadła do wyłożonego marmurami holu, mijając po drodze dwóch pełniących straż lokajów.

Zanim się pojawiła, lokaje szeptali coś między sobą, teraz zaś wyprostowali się i przybrali obojętny wyraz twarzy, jak przystoi służbie.

— Gdzie jest jego książęca wysokość? — rzuciła przez ramię Simonetta, kiedy przechodziła obok nich szybkim krokiem.

— W pracowni, milady.

Nic nie odpowiedziała i było wysoce wątpliwe, czy w ogóle słuchała, co mówi lokaj, bo i tak wiedziała, że znajdzie ojca w pracowni.

Pomknęła długim korytarzem ozdobionym starą zbroją, która pochodziła z czasów, kiedy książęta Trench pozostawali w ciągłym stanie wojny z osobistymi wrogami lub byli nękani najazdami z zewnątrz.

Pchnęła drzwi do pracowni i tak jak się spodziewała, zastała ojca przy biurku. Pracownia była gabinetem ojca lady Simonetty i miejscem, w którym niechętnie widział nieproszonych gości. Książę nie był zajęty pisaniem, wkładał jakieś dokumenty do długiej wąskiej kasetki. Zaskoczony podniósł wzrok, a kiedy ujrzał, kto śmiał zakłócić mu spokój, uśmiechnął się do swojej jedynej córki, do której był bardzo przywiązany i która z każdym dniem, jak przyznawał w duchu, stawała się coraz piękniejsza.

Książę był przystojnym mężczyzną cieszącym się opinią znawcy kobiet i koni. Teraz z lekkim ukłuciem w sercu pomyślał, że wkrótce Simonetta znajdzie odpowiednią partię i opuści dom ojca.

— Papo! — wykrzyknęła zdyszana dziewczyna. — Chcę, żebyś obejrzał mój nowy obraz. Na pewno zgodzisz się ze mną, że jest najlepszy ze wszystkich.

Podeszła do ojca i pokazała mu małe kwadratowe płótno, które trzymała w dłoniach.

Książę wziął od niej obraz i uważnie studiował każde pociągnięcie pędzla, podczas gdy Simonetta z niepokojem wpatrywała się w jego twarz.

— Jest bardzo dobry — powiedział wreszcie — dużo lepszy od tych, które namalowałaś dotychczas. Uchwyciłaś światło w taki sposób, że ja bym tego nie potrafił zrobić lepiej.

— Naprawdę, papo? — zawołała radośnie Simonetta. — Naprawdę uważasz, że jest dobry?

— Bardzo dobry — zapewnił ją książę.

— Tak się cieszę. Wiem, że mój ostatni obraz cię zawiódł. Nagle poczułam, że ten mi się uda, tak jakby... ktoś prowadził moją rękę.

Książę zaśmiał się.

— Tego właśnie zawsze pragniemy. Jednak ostatecznie wszystko zależy od naszych własnych wysiłków i nieustannego dążenia do doskonałości.

Simonetta zrozumiała, co ojciec miał na myśli, i uśmiechnęła się do niego. Potem spojrzała na kasetkę, która leżała na biurku, i nagle zamarła. — Co robisz! Czy... wyjeżdżasz?

Książę unikał jej wzroku, więc zawołała:

— Tak! Wyjeżdżasz! Och, papo, nie możesz mnie opuścić, teraz gdy w ogrodzie jest tyle wspaniałych widoków do malowania!

— Nie będzie mnie tylko dwa tygodnie — odparł książę — a przez ten czas zaopiekuje się tobą ciotka Hurriet.

— To niemożliwe — zaprotestowała Simonetta. — Myślałam, że wiesz, iż ciotka Hurriet przysłała wczoraj posłańca z wiadomością, że niestety musi wybrać się do Londynu i nie przyjedzie do nas, tak jak tego oczekiwaliśmy.

Książę zacisnął usta.

— Dlaczego nie powiedziano mi o tym wczoraj?

— List leżał w holu, a skoro był otwarty, sądziłam, że go przeczytałeś.

— Teraz sobie przypominam — rzekł po chwili książę. — Kiedy przyszedł list, nie zdążyłem go otworzyć, bo wezwano mnie do innych spraw.

Zapadła cisza. Wreszcie Simonetta spytała cichutko:

— Czy... czy mogłabym... pojechać z tobą?

— Nie, to wykluczone — odparł szybko książę. — Jadę do Francji.

— Znowu? — zapytała Simonetta. — Będiesz malował, papo, gdzie tym razem?

Książę znowu sprawiał wrażenie nieco zmieszanego.

— Jadę do Prowansji — powiedział. — Ktoś wynajął mi mały domek w miejscowości zwanej Les Baux. Mówią, że tam światło jest inne niż gdziekolwiek na świecie.

— Czytałam o Les Baux. To jedno z najcudowniejszych miejsc we Francji — powiedziała Simonetta. — Pamiętasz zapewne, że często rozmawialiśmy o trubadurach, którzy pisali wiersze i pieśni na dworach miłości.

— To było wiele lat temu — zauważył książę.

— Tak, wiem — odparła Simonetta — lecz ruiny wciąż stoją pośród skał wulkanicznych i nade wszystko pragnęłabym je zobaczyć.

Książę usiadł za biurkiem i zaczął przekładać papiery.

— Może kiedyś będziesz mogła tam pojechać. Spotkam paru przyjaciół malarzy, którzy mnie

bliżej nie znają, wiedzą tylko, że urzeczony jestem nowym stylem w sztuce.

— Papo, jestem pewna, że uznają cię za bardzo dobrego impresjonistę, jednak jak wiesz, nikt w Anglii nie oceni należycie twoich prac, podobnie jak prac twojego francuskiego przyjaciela Claude'a Moneta.

To właśnie Monet był pierwszym, który zainspirował ojca Simonetty. Księżę zwykł mawiać, że para się malarstwem próbując jedynie naśladować impresjonistów. Moneta spotkał na wystawie obrazów, kiedy malarz przebywał w Anglii. Szybko zostali przyjaciółmi. Monet nie wzbudzał tylu kontrowersji co inni impresjoniści, lecz mimo to Salon odrzucił większość jego płócien.

Simonetta wiedziała, że ojca bawi wymykanie się od czasu do czasu do Francji na tydzień lub trochę dłużej, by przestawać z impresjonistami, z którymi zapoznał go Claude Monet. Ponieważ impresjoniści przyjęli go do swego grona jako malarza, nie zaś arystokratę, przyjeżdżał pod przybranym nazwiskiem i nikt z wyjątkiem Moneta nie miał pojęcia, że w Anglii księżę jest ważną osobistością.

Jako że Simonetta kochała sztukę, próbowała naśladować styl, który podziwiał jej ojciec. Księżę wiele opowiadał jej o impresjonistach i ich dziełach i jego córka stała się wkrótce gorącą zwolenniczką stylu, dla którego Monet i jego przyjaciele starali się zyskać uznanie.

— Papo... proszę, weź mnie ze sobą... tylko ten jeden raz — poprosiła Simonetta. Książę nigdy nie potrafił długo się opierać, gdy przemawiała do niego w taki sposób. Milczał, a córka ciągnęła dalej:

— W przeciwnym razie zostanę tutaj sama, skoro ciotka Hurriet nie przyjedzie.

— Na to się nie zgodzę. Będziesz musiała pojechać do innej ciotki. Jak zapewne wiesz, ciotka Luiza zawsze chętnie widzi cię w swoim domu.

— Odmawiam, stanowczo odmawiam wyjazdu do ciotki Luizy! — zaprotestowała Simonetta. — Ledwo przekroczę progi jej domu, zaczniesz mnie wypytywać o każdego młodego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkałam, a potem będzie próbowała wydać mnie za mąż za któregoś ze swoich obmierzłych protegowanych.

Książę nachmurzył się. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego siostra Luiza wiecznie kogoś swata. Nie miał zamiaru zbyt szybko wydawać córki za mąż ani też zmuszać jej do poślubienia człowieka, którego by nie kochała.

Inaczej niż większość arystokratów, którzy zawierali małżeństwa z rozsądku przez wzgląd na swoje rodziny, książę ożenił się z miłości. Był niezmiernie szczęśliwy ze swoją żoną i mimo licznych ponurych przepowiedni, że wkrótce zacznie oglądać się za innymi kobietami, pozostał jej do końca wierny. Dopiero gdy księżna zmarła jakieś osiem lat temu — Simonetta miała wtedy zaledwie dziesięć lat — zaczął przychylniejszym okiem spoglądać na liczne pocieszające go piękne damy, dla których nigdy nie przestawał być nad wyraz atrakcyjnym mężczyzną.

Dlatego nie pragnął zmuszać swoich synów do małżeństwa, a w sprawie córki, którą uwielbiał, był jeszcze bardziej zasadniczy — uważał, że powinna pójść za głosem serca.

Widział wyraźnie, że Simonetta staje się coraz bardziej podobna do matki i jest tak piękna jak kobieta, która dawno temu nosiła to imię.

W czasie miodowego miesiąca spędzanego we Florencji książę i jego żona oglądali w Galerii Uffizich wspaniałe obrazy Botticellego.

— Clyde, kochanie — rzekła wtedy księżna cichym głosem — jeśli kiedyś Bóg obdarzy nas córką, chciałabym, żeby była piękna jak Wenus.

— Modelką Botticellego była Simonetta Vespucci — powiedział książę. — To mój ulubiony portret. Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, pomyślałem, że jesteś do niej podobna.

— Nigdy nie słyszałam lepszego komplementu — odparła jego żona. — Pewnego dnia dam ci twoją własną Simonette.

Najpierw urodziło im się trzech synów, potem zaś, gdy księżna straciła już nadzieję na to, że powije jeszcze jedno dziecko, na świat przyszła córka.

Dziewczynka miała złotorude włosy, doskonale piękne rysy twarzy i subtelne, czułe spojrzenie jak

Wenus Botticellego. Książę i księżna uznali, że zdarzył się cud.

Teraz jednak patrząc na córkę książę uzmysłowił sobie, iż za urodę trzeba czasem płacić wysoką cenę, i zaczął się obawiać, że bez pomocy żony nie zdoła uchronić dorosłej już Simonetty przed czyhającymi na nią niebezpieczeństwami.

— Papo... proszę cię... bardzo proszę! — błagała Simonetta.

Ojciec milczał, ale czuła, że jego opory przed zabraniem jej w podróż zaczynają słabnąć.

— To raczej niemożliwe — powiedział w końcu — ponieważ jak wiesz, podróżuję incognito.

— Ja też mogę podróżować incognito — odparła Simonetta.

— Jakże mógłbym przybyć z córką, o której nigdy przedtem nie wspominałem? Poza tym, moja droga, szczerze mówiąc, pewni malarze, których spotkam w Les Baux, nie należą do towarzystwa, w jakim powinnaś się obracać.

— Papo, z tobą będę całkowicie bezpieczna — zaśmiała się Simonetta — a jeśli miałbyś czuć się skrepowany z powodu córki, mogę udawać kogoś innego.

Księżciu zaświtała myśl, że gdyby pojawił się w towarzystwie ślicznej dziewczyny, jego przyjaciele impresjoniści nie byliby wcale zdziwieni i z pewnością snuliby różne podejrzenia co do charakteru ich związku.

— Już wiem! — zawołała Simonetta. — Pojadę jako twoja uczennica! Wszyscy wielcy malarze mieli uczniów, więc nikomu nie wyda się to dziwne.

— Jako uczennica? — powtórzył z wahaniem książę.

— Czemu nie? — spytała Simonetta. — Przecież niedawno rozmawialiśmy o tym, że Rubens i Rembrandt mieli dziesiątki uczniów, którzy pomagali im w pracy i w ramach ćwiczeń naśladowali ich styl.

— To co innego — rzekł książę. — Zarówno Rubens, jak i Rembrandt cieszyli się ogromną popularnością i mieli tak wiele zamówień, że nie byli w stanie sami wykańczać wszystkich szczegółów.

— Dlaczegoż nie mielibyśmy być optymistami i wierzyć, że za parę lat i ty podzielisz ich los? — zauważyła Simonetta. — Wtedy na pewno będę ci przydatna.

Książę roześmiał się.

— Próbujesz pochlebstwami nakłonić mnie do czegoś, na co nie powinienem się zgodzić — powiedział. — Tymczasem niezależnie od tego jak bardzo będziesz nalegać, postanowiłem już, że zostaniesz w Anglii.

— Z ciotką Luizą? — spytała Simonetta. — A więc dobrze, skoro tak, po twoim powrocie będę zaręczona z jakimś koszmarnym markizem albo pretensjonalnym księciem, i tylko ty będziesz temu winny.

— Nie bądź śmieszna — rzekł ostrym tonem książę. — Nie mam zamiaru wydawać cię za męża, dopóki nie rozejrzysz się po świecie i nie znajdziesz mężczyzny, z którym będziesz bardzo szczęśliwa.

— Teraz naprawdę szczęśliwa jestem tylko z tobą, papo.

Simonetta obeszła biurko i stanąwszy za ojcem, zarzuciła mu ręce na szyję. Potem przytuliła policzek do jego twarzy.

— Papo, proszę, zabierz mnie ze sobą! — poprosiła. — Będzie nam dobrze razem.

Obiecuję, że zrobię wszystko, co mi każesz, i nie będę zadawać się z nikim, kto wyda ci się nieodpowiedni.

Ojciec milczał. Simonetta mocniej objęła go ramionami.

— Będziesz się mną opiekować, a wiem, że mama chciałaby, żebym i ja opiekowała się tobą — powiedziała.

Książę skapitulował.

— No dobrze. Zabiorę cię ze sobą. Jeśli jednak nabawisz się kłopotów i wywiążą się jakieś nieprzyjemności, natychmiast odeślę cię do domu. Zrozumiałaś?

Simonetta nie odpowiedziała, bo już całowała ojca w policzek.

— Dziękuję, papo — zawołała między jednym pocałunkiem a drugim. — Dziękuję... dziękuję... jesteś kochany i zobaczysz, że wspaniale spędzimy razem czas!

Podróż do Paryża była najbardziej ekscytującym wydarzeniem w życiu Simonetty. Kiedy w przeszłości książe wyjeżdżał z domu, zawsze zostawiał ją pod opieką guwernantki lub starszej krewnej, która bez przerwy pouczała ją i prawila morały. Ojciec był najważniejszą osobą w życiu Simonetty, więc liczyła dni do jego powrotu i godzinami obserwowała podjazd z nadzieją, że wypatrzy z dala konie ciągnące jego powóz. Kiedy przebywał w domu, zawsze po skończeniu nudnych i monottonnych lekcji razem z księciem jeździła konno po majątku lub łowiła ryby w jeziorze, a wieczorem jadła z nim kolację. Najbardziej lubiła jednak rozmawiać z ojcem i współzawodniczyć z nim w malowaniu jakiegoś szczególnego krajobrazu lub rzeźby stojącej w ogrodzie. Ojciec pierwszy opowiedział jej o świetle, które impresjoniści wprowadzili do swoich obrazów, i w ten sposób całkowicie zmienił jej wyobrażenie o sztuce. Simonetta słuchała go z wielką uwagą, a potem starała się naśladować jego styl malowania i z właściwą dzieciom lojalnością podziwiała jego płótna bardziej niż znajdujące się w domu obrazy mistrzów. Przodkowie księcia zapoczątkowali kolekcję obrazów, która zasłynęła na całym świecie z uwagi na swą wielkość i rangę. Nic więc dziwnego, że książe wychowany pośród obrazów zaliczanych

do najwspanialszych dzieł sztuki sam zapragnął malować. Mimo to niewielu krewnych podzielało lub było w stanie zrozumieć jego zamiłowanie. On sam jedynie sporadycznie zajmował się sztuką, dopóki nie poznał Claude'a Moneta. Potem pojechał do Paryża i zetknął się ze światem, z którego istnienia nie zdawał sobie dotąd sprawy. Jego wyprawie dodawał swoistego smaku fakt, że przestawał z impresjonistami nie jako księżę, lecz jako początkujący malarz, z którym mogli rozmawiać jak równy z równym.

Dawniej po przekroczeniu kanału La Manche gościł u swoich utytułowanych francuskich przyjaciół i bywał na wieczornych spotkaniach towarzyskich, zebraniach, balach i rzecz jasna w drogich i ekskluzywnych „domach rozrywek”. Tymczasem impresjoniści spotykali się w tanich kawiarenkach, pili niewiarygodne ilości absyntu i narzekali, że nikt ich nie docenia. Księżę zaczął utożsamiać się z nimi. Potrzebował wypraw do Paryża jak podróżujący przez pustynię oazy. Tam mógł wcielać się w początkującego artystę, który żyje pośród podobnej sobie braci i na jakiś czas zapomnieć o znacznie poważniejszych i z pewnością bardziej dystyngowanych obowiązkach.

Siedząc w komfortowym powozie, który zarezerwował na podróż do Paryża, patrzył na Simo-nettę i zastanawiał się, czy zabierając ją z sobą nie postąpił jak ostatni głupiec. Wielokrotnie zadawał sobie to pytanie, zanim zgodził się na jej nedorzeczny niemal pomysł towarzyszenia mu jako uczennicy. Nie zdobył się na to, by rozczarować córkę zostawiając ją w domu, w chwili gdy dopiero co ukończyła naukę i miała niewielu przyjaciół, którym mogłaby bez uprzedzenia złożyć wizytę. Zarazem przyznawał Simonetce rację, że ciotka Luiza nie jest właściwą osobą, u której dziewczyna może przebywać w czasie jego nieobecności. Miał wprawdzie wielu innych krewnych, którzy

przyjęliby Simonettę z otwartymi ramionami, lecz powiadomienie ich zajęłoby zbyt wiele czasu.

Domu w Prowansji użyczono księciu jedynie na krótki czas nieobecności jego właściciela, więc nie chciał zaprzepaścić takiej okazji. Właściciel, marszand i przyjaciel Moneta, zdradzał zamiłowanie do komfortu, stąd książę był pewny, że dom, choć niewielki, będzie za to wygodny. Niewątpliwie lepiej tu się zatrzymać niż w tanim hoteliku. Książę nie chciał bowiem mieszkać z innymi malarzami, których często po wypiciu zbyt wielu szklanek absyntu trzeba było odprowadzać do łóżek, a poza tym nie życzył sobie, by Simonetta poznała jego przyjaciół od tej strony, ponieważ nie pochwalał takich obyczajów i uważał je za zgoła nieprzystojne.

W Les Baux książę chciał malować i jeszcze raz malować, jednak uznał, że po zachodzie słońca dobrze jest podyskutować z przyjaciółmi na interesujące go tematy. Próbował uspokoić sumienie mówiąc sobie, że nikt się nie dowie ani nawet nie

domyśli, iż Simonetta nie jest osobą, za którą się podaje.

Simonettę bardzo podniecała ta sytuacja. Czowała się tak, jakby brała udział w pantomimie albo grała w teatrzyku w majątku ojca. Takie przedstawienia urządzała od kilku lat na Boże Narodzenie dla domowników i okolicznych dzieci.

Księżę postawił surowe wymagania co do jej aparycji.

— Masz wyglądać godnie, lecz ubogo — powiedział. — Zbyt interesuje cię sztuka, żebyś przejmowała się swoim ubiorem.

— To nie będzie łatwe, papo — zaśmiała się Simonetta. — Wszystkie moje suknie są bardzo drogie i jeśli nawet nie zwrócą na nie uwagi mężczyźni, z całą pewnością zrobią wrażenie na kobietach.

— Musisz znaleźć coś odpowiedniego, bo w przeciwnym razie nie wezmę cię ze sobą — rzekł stanowczo ojciec.

— Nie martw się tym, ojcze — obiecała Simonetta ze skromną minką, lecz w jej oczach błysnęły wesołe iskierki.

Nie było to łatwe, jednak w końcu znalazła kilka prostych sukienek, które nosiła kilka lat temu i poleciła je poszerzyć zatrudnionej w pałacu szwaczce.

— Na cóż milady te stare szmaty? — zdziwiła się pani Baines. — Na panienki miejscu dawno już oddałabym je do sierocińca.

— Gdy wyjadę z papą, wezmę udział w przedstawieniu — wyjaśniła Simonetta. — Zagram rolę ubogiej dziewczyny, która sama zarabia na życie. Na koniec oczywiście poślubię pięknego księcia.

— Do ostatniej sceny nie zabraknie panience strojów — zauważyła pani Baines. Sukienki zostały przerobione. Simonetta użyła swojej wyobraźni i skłoniła szwaczkę, by ta uszyła jej niebieski aksamitny płaszcz. Była pewna, że spodoba się artystom. Zostało jeszcze nawet trochę czasu, by uszyć naprędce kilka cienkich bluzek wiązanych na wstążki pod szyją. Ponieważ wszystko odbywało się w wielkim pośpiechu, pomagały im pokojówki, które zadawały mnóstwo wścibskich pytań na temat przedstawienia. Kiedy książę był gotów do drogi, Simonetta miała już kuferek pełen rzeczy, a kiedy mu je pokazała, przyznał, że są nader skromne. Nie wziął jednak pod uwagę, że na córce będą wyglądały zupełnie inaczej. Ta dziewczyna o niesamowitych złotorudych włosach i niebieskozielonych oczach w każdym ubraniu, choćby w rzeczywistości było tanie i skromne, wyglądała wspaniale.

Ojciec i córka opuścili rezydencję wczesnym rankiem i pojechali do domu w Londynie, który na razie był jeszcze zamknięty. Książę zamierzał go otworzyć, kiedy Simonetta zostanie przedstawiona królowej, aby wydać tam bal na cześć córki. Miało to nastąpić dopiero za miesiąc, dlatego w pałacu Faringham w Park Lane pełniło teraz służbę za-

ledwie kilkoro podeszłych wiekiem sług, których na widok księcia i Simonetty ogarnęło wielkie zdziwienie, potem zaś doznali ulgi, że państwo zamierzają spędzić w pałacu zaledwie godzinę. Ponieważ służący byli zbyt starzy, by powodowała nimi ciekawość, nawet nie zauważyli, że kiedy książę i Simonetta przybyli do Faringham, większość ich sporego bagażu pozostała w sypialniach. Kiedy zaś odjeżdżali, zabrali ze sobą jedynie dwa małe kuferki i wyglądali zupełnie inaczej niż po przybyciu z wiejskiej rezydencji.

Książę odesłał powóz i gdy do stacji Victoria jechali wynajętą bryczką, powiedział Simonetcie, że od tej chwili zaczynają grać swoje role w sztuce.

— Musimy napomnieć, kim jesteśmy, i wczuć się w osobowość postaci, które gramy.

— Postaram się, papo! — zapewniła go z uśmiechem Simonetta.

— Nie zrezygnujemy z wygod, dopóki nie dotrzemy do celu naszej podróży — ciągnął książę — chociaż możemy wyglądać dziwnie jak na pasażerów pierwszej klasy.

Ojciec jest tak dystyngowany i przystojny — pomyślała Simonetta — że nie sposób nie wziąć go za dżentelmena.

Zauważyła jednak, że kiedy zaczął podawać się za jakiegoś zwyczajnego pana Calverta, traktowano go zupełnie inaczej, niż gdy był jego wysokością księciem Faringhamu.

Naczelnik stacji Victo-

ria, w cylindrze i ozdobionym galonem mundurze, nie odprowadził ich do pociągu. Również kapitan portu nie towarzyszył im w drodze na statek, którym przepłynęli kanał La Manche. Bagażowy sprowadził zamówiony przez księcia powóz.

— *Merci beaucoup, m'sieur* — podziękował za *pourboire* i pospiesznie się oddalił.

Żaden urzędnik, sekretarz ani służący nie zainteresował się, czy czegoś im nie trzeba w czasie podróży. Simonetta wiedziała jednak, że ojciec cieszy się swobodą, jaką zapewnia mu incognito.

— Papo, zachowujesz się jak uczeń na wagarach — zażartowała Simonetta.

— Każdego dnia mam służbę gotową na każde moje skinienie — odparł książę. — Muszę przyznać, Simonetto, że bawi mnie, gdy mogę być zwykłym człowiekiem w tłumie szarych ludzi.

— Mnie też bardzo to się podoba!

— A teraz zachowuj się należycie — upomniął ją książę. — W przeciwnym razie nie będę miał żadnych skrupułów, by natychmiast odesłać cię do domu i uznać, że popełniłem błąd zabierając cię z sobą.

— Papo, oboje doskonale wiemy, że cieszysz się ze wspólnej podróży — rzekła Simonetta.

— Tymczasem dla mnie to wspaniała, naprawdę wspaniała przygoda!

Umilkła na chwilę, po czym zapytała:

— Czy według ciebie wyglądam dość ładnie, by uchodzić za twoją uczennicę?

Książę chciał odrzec „o wiele za ładnie”, lecz stwierdził, że to mogłoby zbyt połechnąć jej próżność, więc rzucił:

— Wyglądasz dobrze.

Zdecydował już, że nie będzie wieczorami zabierał Simonetty do gospody i innych miejsc, gdzie zbierają się artyści, kiedy jest już zbyt ciemno, by malować. Wiedział, że Simonetta chętnie zostanie sama z książką. Jej ciotki i guwernantki zawsze narzekały, że dziewczyna zbyt dużo czyta.

Prawie przez cały czas będę przy niej — postanowił książę. — Nie powinna jednak przestawać z moimi dość ekscentrycznymi przyjaciółmi. Musi zostawać w domu i zająć się lekturą.

Kiedy wszystko to ułożył sobie w myślach, przyznał, że w głębi duszy cieszy go obecność córki. Simonetta była inteligentna i swoimi pomysłami zapładniała jego umysł. W czasie rozmowy z nią często zapominał, że nie jest jego rówieśnicą. Książę bardzo kochał swoich synów. Łączyły go z nimi wspólne zamiłowania, zwłaszcza polowania i konie. Natomiast więź z Simonettą miała raczej intelektualny i duchowy charakter. Książę rozmawiał z córką o sprawach, których nigdy nie poruszał z żadną poza żoną kobietą.

Patrzył na błyszczące z podniecenia oczy Simonetty i na profil jej prostego noska widoczny na tle okna, gdy wyglądała z powozu, i zastanawiał się, jaką przyszłość zgotuje los jego córce. Na samą myśl, że mogłaby kiedykolwiek być nieszczęśliwa,

ogarniał go dręczący niepokój. Wiedział lepiej niż inni, że jest wrażliwa i pełna intuicji, a jednocześnie obdarzona ogromnym poczuciem humoru.

Zabiję każdego, kto ośmieli się ją skrzywdzić — pomyślał.

Próbował uspokoić się myślą, że jest jeszcze zbyt młoda, by interesować się mężczyznami. Wiedział jednak, że kiedy tylko zacznie bywać w świecie, mężczyźni z pewnością się nią zainteresują i wtedy zaczną się kłopoty. Książę z obawą patrzył w przyszłość. Na razie jednak miał Simonettę wyłącznie dla siebie. Był jedynym mężczyzną w jej życiu, mężczyzną, którego podziwiała. Nie musiał chwilowo zaprzętać sobie głowy rywalami. Pociąg z łośkotem jechał przed siebie. Czas płynął. Simonetta otworzyła koszyk z prowiantem, który zabrali z Faringham Park.

— Same pyszności, papo — powiedziała. — Pasztet, kurczak na zimno, szynka przyrządzona tak, jak lubisz i butelka szampana.

— Zaraz ją otworzę — rzekł książę. — Pewnie uważasz się teraz za dorosłą i także zechcesz się napić.

— Wzniosę tylko toast za naszą przygodę — odparła Simonetta. — Szczerze mówiąc wolę lemoniadę, o której jak widzę, nie zapomniał szef kuchni. Są też *marrons glacés*, które uwielbiam.

— Mam nadzieję, że tam gdzie zamieszkamy, będzie dobry kucharz — powiedział książę.

— Potrawy we francuskich gospodach są na ogół mocno przyprawione czosnkiem. Wątpię też, czy lubiłabyś żabie udka, danie, z którego słynie Prowansja.

Simonetta zmarszczyła nosek.

— Myślę, że to niemądre ze strony Brytyjczyków nie lubić czegoś tylko dlatego, że jest nowe

— rzekła po chwili. — Jestem gotowa spróbować żabich udek, ślimaków i truflí. Odmówię tylko wtedy, gdy okażą się niesmaczne.

— Bardzo rozumnie. Jednak z drugiej strony nie ma sensu zmuszać się do jedzenia jakiejś potrawy tylko dlatego, że jest nowa — zauważył książę.

Przyszło mu właśnie na myśl, że ponieważ artyści są inni niż ludzie, których dotąd spotykała, Simonetta może sobie stworzyć ich zbyt wyidealizowany obraz. Miał w pamięci przywary swoich przyjaciół ze świata sztuki, z których kilku niewątpliwie będzie w Les Baux! Niektórzy z nich byli ludźmi swobodnych obyczajów i stanowili raczej niezbyt pożądane towarzystwo dla damy.

Nie powinienem był zabierać ze sobą Simonetty — pomyślał po raz setny książę.

Cóż, stało się i nie ma odwrotu. Nie potrafił się zdobyć na to, by zostawić Simonettę w Paryżu u jakiejś szacownej francuskiej rodziny, gdzie z pewnością okropnie by się nudziła albo wysłać córkę z powrotem do Anglii do swojej siostry Luizy. Nie wybaczyłaby mu tego.

Upił nieco szampana, po czym podniósł w górę kieliszek.

— Za nas, Simonetto, za ciebie i za mnie, żebyśmy oboje mieli wspaniałe wakacje!

— Jestem pewna, że tak będzie, papo — rzekła Simonetta. — Piję za ciebie, impresjonistę i najcudowniejszego człowieka na świecie.

— Dziękuję!

Córka i ojciec uśmiechnęli się do siebie, bo tego co czuli, nie potrafili wyrazić słowami. Noc spędzili w cichym paryskim hoteliku w pobliżu Lasku Bulońskiego, w niczym nie przypominającym domów, w których nocował książę, gdy podróżował samotnie. Wtedy na stacji pojawiał się luksusowy powóz ze stangretem i lokajem, który miał go zawieźć do wielkiej rezydencji na Polach Elizejskich lub do kawalerskiego apartamentu, gdzie gościł go jeden z bardziej rozpustnych przyjaciół. Książę był witany przez samego gospodarza i czekało na niego mnóstwo zaproszeń. Zabierano go na obiad, przyjęcie w domu któregoś z arystokratów lub do wykwintnej restauracji. Zbierali się tam panowie należący do śmietanki towarzyskiej Paryża, którzy przychodzili nie z żonami, lecz z kurtyzanami obwieszonymi klejnotami i odzianymi w kosztowne suknie, z których to pań słynęło to najweselsze miasto w Europie. Prowadzono dowcipne rozmowy z *double entendre* w każdym zdaniu. Jedzenie było znakomite, a wino wyborne. Książę zaś zawsze

dokładnie wiedział, jak zakończy się wieczór! Z ostatniej wizyty w Paryżu pamiętał niezwykle wyraziście pewną olśniewającą kobietę, z którą spędził wiele czasu. Wydała mu się pociągająca ze względu na kolor włosów, które przypominały trochę włosy jego żony. Patrząc na Simonettę uświadomił sobie, że włosy tamtej kobiety zawdzięczały swą barwę farbce.

Tym razem, rzekł sobie, ponieważ jest z nim Simonetta, nie będzie żadnych gierek, żadnych rozczarowań i niesmaku, który przychodzi następnego ranka i który zatruwa wspomnienia spędzonych razem chwil. Radość Simonetty będzie jego radością.

Kiedy książkę zasypiał w hotelu, przyszło mu na myśl, że to co teraz robi, jest najlepszą rzeczą na świecie.

Dla Simonetty wszystko było nowe i bardzo podniecające. Paryż okazał się dokładnie taki, jak sobie wyobrażała. Domy z szarymi okiennicami, drzewa na bulwarach, ludzie siedzący przed kafejkami w świetle lamp gazowych — wszystko to sprawiało, że czuła radość, której przyczyny nie potrafiła dokładnie wyjaśnić.

Następnego dnia przed odjazdem jedli w saloniku śniadanie, lecz Simonetta nie była w stanie przełknąć ani kęsa, bo bez przerwy podbiegała do okna, by obserwować przechodniów i ponad koronami drzew spoglądać na szare dachy domów.

— Papo, Paryż jest taki piękny — powtarzała wciąż. — Żałuję, że nie zostajemy tu na dłużej.

— Zabiorę cię tu innym razem — obiecał książę — i wtedy ujrzysz Paryż w pełnym blasku. Przyjedziesz do Lasku Bulońskiego w eleganckim powozie i bez wątpienia spotkasz się z gorącym i tłumnym powitaniem w pałacu Tuilleries.

— To nie będzie nawet w połowie tak wspaniałe jak przygoda, którą przeżywamy teraz — odrzekła Simonetta. — Chciałabym posiedzieć z tobą na tarasie jakiejś kafejki, a wieczorem popatrzeć na tancerki z rewii.

— To niemożliwe — odparł książę stanowczym głosem. — Włóż lepiej kapelusz i zamknij kufer, bo spóznimy się na pociąg.

— Zapomniałam, że muszę to zrobić sama — zaśmiała się Simonetta i pobiegła do swego pokoju.

Wydało jej się czymś dziwnym, że musi się obejść bez pokojówki i pomyślała, że ojciec jest bardzo zaradny, skoro pakuje się bez pomocy Jar-visa, który mu usługiwał zawsze, odkąd sięgała pamięcią, i traktował swego pana jak niańka nieznośne dziecko.

Jarvis z całą pewnością nie byłby teraz dla nas stosownym towarzyszem podróży — pomyślała z rozbawieniem.

Zamknęła kuferek, zapięła rzemyki i włożyła na lśniące włosy swój skromny kapelusz, ozdobiony jedynie małym piórkiem. Narzuciła na ramiona

podróżną pelerynę w kolorze bladego błękitu. Jeśli książe pragnął, by córka nie rzucała się w oczy, spotkał go zawód. Peleryna stanowiła doskonale tło dla jej delikatnej białej cery i podkreślała miedziany połysk jej włosów.

Wydaje mi się, że wyglądam dość ładnie — pomyślała Simonetta patrząc na swoje odbicie w lustrze. Natychmiast jednak zawstydziła się własną próżnością i na jej twarzy pojawił się lekki grymas, który z pewnością nie spotkałby się z pochwałą żadnej z guwernantek.

Tanecznym krokiem wróciła do saloniku, by powiadomić ojca, że jest gotowa do drogi.

Kiedy dotarli do stacji, książe powiedział:

— Zarezerwowałem przedział. Mam tylko nadzieję, że nie zobaczy nas nikt z Les Baux! W Arles czeka nas przesiadka.

— Co w tym złego, że zarezerwowałeś przedział? — chciała wiedzieć Simonetta.

— Nic — odparł — wyjąwszy fakt, że na to nie może sobie pozwolić impresjonista, który od przynajmniej pół roku nie sprzedał żadnego obrazu.

Simonetta zaśmiała się.

— Czy mamy żyć z tego, co zarobimy?

— Jeśli byliby nadmiernie ciekawi, będziemy musieli przyznać, że mamy niewielkie dochody z innych źródeł — odparł książe.

— Z jakich? — zapytała Simonetta.

— Nie mam najmniejszego pojęcia!

Oboje wybuchnęli śmiechem. Czuli jednak ulgę, że jadą sami w wygodnym przedziale. Koszyk z prowiantem, w który zaopatrzone ich w hotelu, nie zawierał nawet w przybliżeniu takich smakołyków, jakimi delectowali się poprzedniego dnia, lecz znalazła się w nim butelka clareta. Książę uznał wino za wyborne i nawet Simonetta upiła kilka łyków.

Wyjechali wczesnym rankiem, jednak mieli przed sobą jeszcze szmat drogi. W rzeczy samej zanim przybyli do Arles, Simonetta była znużona, a książę zdrzemnął się parokrotnie w ciągu popołudnia.

— Jest zbyt późno, by jechać dalej — zdecydował książę. — Przenocujemy tutaj i z samego rana wyruszemy do Les Baux.

Simonetta czuła się zbyt zmęczona, by zaprotestować, poszli więc do hotelu, który zdaniem księcia był najlepszy w mieście, i musieli zadowolić się dwiema małymi i niezbyt wygodnymi sypialniami, bo inne pokoje były już zajęte.

— Dlaczego jest tu tylu ludzi? — zapytała Simonetta.

— Sądzę, że to z powodu walk byków — odparł książę.

Simonetta wydała okrzyk przerażenia.

— Walki byków! Zawsze uważałam, że to bardzo okrutny i odrażający sport.

— To prawda — zgodził się książę. — Jednakże w tej części świata byki hoduje się specjalnie do

walk i nikt nie przekona tych ludzi, by zaprzestali tego, co jest dla nich tradycyjnym sportem datującym się z czasów rzymskich.

— Nie mam zamiaru tego oglądać.

— Ja również — zapewnił ją ojciec — więc nie zaprzataj tym sobie głowy.

Simonetta była zbyt senna, by dłużej myśleć o bykach, więc udała się na spoczynek.

Rano, kiedy książę czekał na *petit dejeuner*, Simonetta wpadła do pokoju ze słowami:

— Czy wiesz, że tutaj jest wspaniały amfiteatr, prawie tak piękny jak Koloseum w Rzymie? Musimy go zobaczyć!

— Oczywiście — zgodził się książę. — Mamy mnóstwo czasu na zwiedzanie, zanim wyruszymy do Les Baux.

— Naprawdę? — wykrzyknęła Simonetta.

— Jesteś cudowny, papo! Muszę to wszystko zobaczyć.

— Sądzę, że Les Baux także ci się spodoba

— rzekł książę.

Zapukała właśnie pokojówka ze śniadaniem, więc Simonetta nic nie odpowiedziała, tylko podeszła do okna.

Wyjrzała na wąską uliczkę i na stare domy, gdzie żyli ludzie, którzy wydali jej się tak dziwni, jakby przybyli z innej planety. Nagle doznała dziwnego wrażenia, że w jej życiu zaczyna się coś nowego i zdumiewającego. Poczuła się tak, jakby usłyszała głos przeznaczenia. Wiedziała, że otwo-

rzą się przed nią nowe horyzonty, o których istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Wyraźnie czuła atmosferę nowości, chociaż nie potrafiła nazwać ani opisać uczucia, które ją przepełniało. Rzekła sobie w duchu, że właśnie podnosi się kurtyna i czekają zupełnie inne życie.

ROZDZIAŁ 2

— Jak tu wspaniale! — wykrzyknęła Simonetta.

Wyruszyli właśnie z Arles otwartym powozem ciągniętym przez dwa konie.

— Ja również mam takie wrażenie, a wszystko co dalej się wydarzy, będzie naszą wspólną przygodą — uśmiechnął się książę.

Simonetta wsunęła dłoń do jego ręki.

— To niezwykła przygoda! — rzekła głosem, który rozczulił księcia.

Podążali na północny wschód ku Alphilles, niewielkiemu, lecz dość dzikiemu masywowi górskiemu oddalonemu o niecałe dziesięć mil od Arles. Tam zawieszony na skale usadowiło się Les Baux.

Ledwo opuścili gwarne ulice i okolice miasta, które jak dowiedziała się Simonetta, zostało założone jako kolonia Juliusza Cezara i od VI wieku było zarówno portem, jak i ważnym ośrodkiem handlu, dziewczyna zaczęła podziwiać krajobraz.

Był inny od wszystkich, które dotąd widziała. Z jednej strony ukryte za chroniącymi przed wiatrem żywopłotami znajdowały się ogrody nastawione na sprzedaż. Kiedy teren się unosił, wśród smukłych drzew migdałowych dostrzegła ciemnofioletowe kwiaty lawendy, z których jak jej powiedziano, słynie Prowansja. Jechali dalej i wreszcie pojawiły się złote łąki zboża, szmaragdowozielone łąki, żerdzie z winną latoroślą i srebrnoszare drzewka oliwkowe.

— To cudowne! Papo, czyż to nie cudowne? — wykrzykiwała co chwilę Simonetta.

Wiedziała, że ojciec patrzy na wszystko inaczej; jego oczy szukały tego, co impresjoniści zwą intensywnością światła. Claude Monet, który stał się niekwestionowanym autorytetem nowej szkoły malarstwa, głosił pogląd, że obraz powinien w całości powstawać w plenerze.

— Światło i kolor — mawiał do swoich słuchaczy — są darem od Boga, dlaczegoż więc mielibyśmy go się wyrzekać?

Chociaż początkowo jego pogląd uchodził za rewolucyjny, udało mu się przekonać do swojej koncepcji malarstwa Edouarda Maneta i Renoira. Książę potrafił zrozumieć, że krajobraz Prowansji przemawia do nich bardziej niż każdy inny we Francji.

Dla Simonetty wszystko było zachwycające, a kiedy dostrzegli na horyzoncie zarysy poszarpanych wysokich skał, nagich i ostrych, które na tle

błękitu nieba tworzyły niesamowity widok, zaniemówiła z podziwu. Wiedziała, że ojciec także jest pod wrażeniem. Obojgu przyszły na myśl zaciekle walki, jakie panowie Les Baux staczali w średniowieczu ze swoimi wrogami. Ich nie do zdobycia fortece niosły śmierć napastnikom. Teraz jednak ustała wszelka przemoc; pozostała jedynie magiczna moc, która rosła, w miarę jak powóz niósł oczarowanych podróżnych w stronę gór. Konie wspinały się po krętej drodze, która prowadziła na szczyt, gdzie wysoko pośród skał wznosiły się ruiny zamku, tak zbieleły od słońca, że z trudem można było rozpoznać, w którym miejscu kończy się zamek i zaczyna skała. Później powóz zjechał po zboczu ku małej dolince usytuowanej między dwiema nagimi skałami. Stało na niej zaledwie kilka domów. Nagle całkiem nieoczekiwanie woźnica zatrzymał konie przed małym domostwem z lekko spadzistym czerwonym dachem w stylu romańskim i z półokrągłymi okiennicami. Simonetta wiedziała, że taka architektura jest typowa dla prowansalskich domów.

Kiedy spojrzała na maleńki ogródek pełen kwiatów i na pootwierane okna, do których zaglądało słońce, pomyślała, że budynek przypomina domek dla lalek i bardzo różni się od rezydencji, w której mieszkała z ojcem.

— Czy tutaj właśnie się zatrzymamy? — zapytała cicho.

— Tak sądzę — odparł książe.

Wysiedli z powozu i ruszyli ścieżką do drzwi. Zastali je otwarte, więc weszli do środka. Książę był taki wysoki, że niemal dotykał głową grubych belek stropu.

Ledwo zdążyli się rozejrzeć po wygodnym, ładnie umeblowanym saloniku, kiedy w drugich drzwiach, które z pewnością wiodły do kuchni, pojawiła się jakaś kobieta.

— *Bonjour, monsieur* — odezwała się. — Jesteście, jak sądzę, gośćmi, których kazał mi się spodziewać monsieur Louis Gautier.

— Otóż właśnie! — odparł książę. — Nazywam się Clyde Calvert, a to moja uczennica, mademoiselle Simonetta.

— Jestem Maria — rzekła kobieta. — Utrzymuję dom monsieur Gautiera w czystości i porządku. Jeśli chce pan dodatkowych usług, monsieur, musi pan za nie zapłacić!

Powiedziała to agresywnie, jakby przywykła do tego, że ludzie oczekują od niej czegoś za darmo.

— Jestem do tego przygotowany — odrzekł książę. — Monsieur Gautier powiedział mi, że jesteś dobrą kucharką.

— Jeśli mam z czego gotować, monsieur... — odparła Maria z nieufnością w głosie.

Książę wsunął rękę do kieszeni i wyjął kilka złotych ludwików.

— Pozwól, Mario, że z góry wypłacę ci pensję. A oto trochę pieniędzy na zakupy. Dodam, że

mademoiselle i ja życzymy sobie jak najlepszych dań.

Simonetcie zdawało się, że Maria spojrzała na ludwiki nieco chciwym wzrokiem.

— Chleb jest tani, monsieur — odparła służąca — lecz za najlepsze masło, jajka i kurczęta trzeba drogo zapłacić.

— Chcę, abyś kupowała tylko najlepsze produkty — rzekł z naciskiem książę.

Odliczył kilka ludwików i położył je na dłoni Marii, która schowała je tak szybko, jakby spodziewała się, że pieniądze są jedynie jej złudzeniem i zaraz znikną.

— Zrobię co w mojej mocy, by pana zadowolić, monsieur — powiedziała zupełnie innym tonem. — Uchodzę za jedną z najlepszych kucharek w Les Baux, więc nie będą państwo rozczarowani.

— Dziękuję, Mario — rzekł książę. — Mademoiselle i ja z chęcią przekonamy się o twojej sztuce kulinarnej podczas obiadu, lecz teraz jeśli to możliwe, proszę przygotować nam lekki lunch.

— Zrobię omlet z ziołami Prowansji, a wieczorem spróbują państwo mojego kurczaka z estragonem. Monsieur Gautier na samo wspomnienie o nim palce liże.

— Wprost nie mogę się doczekać, Mario — uśmiechnął się książę.

Potem udzielił wskazówek woźnicy, który wnosił do domu bagaże.

Na parterze znajdowała się wygodna sypialnia. Simonetta nalegała, żeby zajął ją ojciec, podczas gdy sama wspięła się wąskimi schodami na piętro, gdzie pod spadzistym dachem mieściła się druga, mała, lecz ślicznie umeblowana. Spodobała jej się, bo z jej okien roztaczał się z obu stron widok na wysokie skały. Już na pierwszy rzut oka można się było przekonać, że światło padające na nagie skały ma w sobie coś niezwykłego. Simonetta chciała stać i patrzeć; nigdy jeszcze nie czuła się bardziej wzruszona. Wiedziała jednak, że na dole czeka ojciec, więc szybko otworzyła kufer i zdjawszy strój podróżny, przebrała się w lekką sukienkę. Potem pospieszyła do saloniku.

Księżę, jak się spodziewała, rozpakowywał płótna, farby i sztalugi. Najwyraźniej korciło go, by wyjść z domu i malować w świetle, dla którego przebył tak daleką drogę. Z dużym trudem nakłoniła go, by coś zjadł, zanim wyruszy w poszukiwaniu natchnienia.

Simonetta delectowała się omletem przyprawionym specjalnymi ziołami, który smakiem bardzo różnił się od omletu podawanego w Anglii. Zauważyła jednak, że ojciec bez przerwy zerka na okno, myśląc zapewne o widoku, który przeniesie na płótno.

— Żałuję, że nie mam książki, z której mogłabym dowiedzieć się czegoś więcej o dworach miłości — odezwała się Simonetta próbując oderwać jego uwagę od ogrodu.

Książę odparł cos' w roztargnieniu. Kiedy wpadał w taki nastrój, wiadomo było, że jego myśli całkowicie pochłania przyszły obraz. Ledwo spożył omlet i znakomity kozi ser, który zrobiono we wsi, zerwał się od stołu. Nie zachęcając nawet Simonetty, by poszła z nim, wziął sztalugi, stołek, farby i płótno, po czym zniknął na zakurzonej ścieżce wiodącej ku wysokim skałom, którym pragnął jak najszybciej przyjrzeć się z bliska.

Simonetta uznała, że rozsądniej będzie rozpakować najpierw rzeczy i rozejrzeć się po domu. Pomyślała też, że powinna bliżej poznać Marię. Znalazła ją w małej, nieskazitelnie czystej kuchence. Po otrzymaniu sowitej zapłaty za usługi, służąca była teraz w wesołym, przyjaznym nastroju.

— Panienska jest malarką, m'mselle? — zapytała. — Czy przyjechała panienska do Prowansji, by towarzyszyć temu przystojnemu panu, który jest przyjacielem monsieur Gautiera?

Zadała pytanie w taki sposób, że Simonetta poczuła się jak na śledztwie. Chociaż nie potrafiła wyjaśnić dlaczego, zrobiło jej się nieswojo.

— Monsieur Calvert jest moim nauczycielem — odparła szybko — a ja jego uczennicą. Bardzo chciałabym zostać dobrą malarką.

Maria utkwiała badawcze spojrzenie w twarzy Simonetty, jakby sprawdzała, czy dziewczyna mówi prawdę.

— *Tiens!* — wykrzyknęła. — Jakby nie było dosyć, że tylu mężczyzn marnuje czas na malowanie! Jeszcze kobiety muszą iść w ich ślady!

— To niesprawiedliwe! — zaśmiała się Simonetta. — Skoro kobiety mają talent, dlaczegoż miałyby go nie rozwijać?

— Najlepszą rzeczą dla kobiety — rzekła oschle Maria — jest wychowywanie zdrowych dzieci, a to nie pozostawia czasu na nic innego.

— Ile masz dzieci?

— Sześcioro — odparła Maria — lecz teraz są wystarczająco dorosłe, by same mogły się o siebie troszczyć, więc w wolnym czasie zarabiam parę groszy.

— To właśnie będę mogła robić, jeśli zostanę dobrą malarką — stwierdziła Simonetta. Maria odstawiła garnek, który właśnie myła.

— Z taką urodą, m'mselle — powiedziała

— można znaleźć sobie bogatego męża, nawet jeśli nie ma się żadnego posagu. To trudne dla prostej dziewczyny, ale gdy jest wystarczająco ładna, zawsze znajdzie się jakiś mężczyzna gotowy popełnić dla niej głupstwo.

Simonetta zaśmiała się. Zrozumiała, że na swój sposób Maria obdarzyła ją komplementem.

— Na razie nie zamierzam wychodzić za mąż

— powiedziała. — Pójdę teraz rozpakować swój bagaż i zanim się ściemni, trochę popracuję.

— Ma panienka jeszcze dużo czasu na malowanie — rzekła Maria z nutą pogardy w głosie.

Wspinając się po wąskich schodach do sypialni, Simonetta pomyślała z rozbawieniem, że Maria zachowuje się jak krytycy w Paryżu, którzy nie są dobrego zdania o impresjonistach, podobnie jak ludzie nie kupujący ich obrazów. Przypomniała sobie artykuł z gazety, którą ojciec kupił w Paryżu. Krytyk napisał, że „Monet i Renoir zdają się wypowiadać wojnę pięknu”.

— Jak mogą być tak ślepi? — spytała gniewnie Simonetta, gdy to przeczytała.

— Taki los zawsze spotyka nowe idee — odparł książę. — Od czasów Galileusza, uwięzionego za to, że twierdził, iż Ziemia jest okrągła, a nie płaska, zawsze znajdują się ludzie, którzy zaciekle zwalczają nowe odkrycia i idee.

Simonetta spojrzała przez okno na wysokie skały Les Baux. W blasku popołudniowego słońca nabrały niezwyklej złotej barwy. Przemknęła jej przez głowę myśl, że nie ma chyba człowieka, który nie potrafiłby docenić ich splendoru.

Światło, za którego sprawą impresjoniści malują inaczej niż poprzednicy — pomyślała — to nie tylko coś, co widzą nasze oczy, ale coś, co odkrywamy dzięki wrażliwości duszy.

Muszę postarać się tak właśnie malować — postanowiła w duchu.

Szybko powiesiła do szafy suknie i zbiegła na dół, by wypakować pudło z farbami i małe płótno. Wyszła przed dom do ogrodu. W rzeczy samej nie musiała się bardzo oddalać, żeby znaleźć temat do

swego obrazu. Wystarczyło spojrzeć na dom, którego jaskrawoczerwony dach wyraźnie rysował się na tle wznoszących się ku niebu nagich skał. Widok był tak cudowny, że dziewczynie zaparło dech w piersi. Czuła się tak, jakby jego piękno przeniknęło do jej serca.

Księżę przywiózł ze sobą jeszcze jedne małe sztalugi. Stały w kącie saloniku. Simonetta wiedziała, że może je pożyczyć. Wyniosła je z domu i postawiła przed ogromnym głazem na wpół porośniętym mchem. Mieszając farby starała się przenieść na płótno kontrast światła i cienia, który według impresjonistów jest wzrokowym wyobrażeniem samego życia. Ojciec w prosty sposób wyjaśnił jej, co impresjoniści starają się osiągnąć.

— Impresjonizm — powiedział — jest przede wszystkim sposobem widzenia.

— Czy oni uważają, że światło to życie? — spytała Simonetta.

— Dokładnie! — odparł ojciec. — Zaś magia światła wyrażona jest przez magię koloru. To było punktem wyjścia pierwszych impresjonistów.

Upewnił się, czy Simonetta go rozumie, i ciągnął dalej:

— To właśnie światło ożywia kolory. Impresjoniści, na przykład Monet, malują kolory, tak jak je widzą, a nie takie, jakie podobno przypisane są temu lub innemu przedmiotowi.

— Chyba rozumiem — powiedziała Simonetta.

Ojciec pomagał jej pytając, jakie kolory widzi wokół siebie, i stopniowo przekonała się, że prawie każdy kolor jest uzupełnieniem innego. Wkrótce odkryła też, że każdy przedmiot zmienia barwę w zależności od światła, w którym się go ogląda.

— Rozumiem — rzekła wtedy Simonetta — lecz trudno jest malować światło zwykłymi farbami. Potrzeba do tego farb czarodziejskich, które zmieniają barwę tak szybko, jak zmienia się samo światło!

Mimo to próbowała i dopiero po niemal dwóch godzinach pracy uznała, że na płótnie zaczyna powstawać coś, co spodobałoby się jej ojcu.

Przez cały czas słońce padało na jej odkrytą głowę, więc kiedy zrobiło jej się zbyt gorąco, wróciła do domu, by schronić się w cieniu. Usiadła w wygodnym fotelu i widocznie zasnęła, bo gdy się obudziła, było późne popołudnie, a w drzwiach stał jej ojciec.

— Och, papo, już wróciłeś! — krzyknęła.

— Przyszedłem do domu, bo z nieba leje się taki żar, że poczułem pragnienie — wyjaśnił.

— Mam ci zrobić herbatę? — spytała. — A może sprawdzę, czy w domu jest jakieś wino?

— Wina napiję się później w gospodzie — odparł. — Teraz wystarczy herbata, chociaż wolałbym coś zimnego.

Simonetta poszła do kuchni. Kiedy w czajniku gotowała się woda, znalazła cytrynę, którą pewnie przyniosła ze sobą Maria. Wycisnęła ją do szklan-

ki i zaniósła herbatę ojcu, który wypił ją łąpczywie.

— Ciekawe, jakie owoce można tu kupić? — zastanawiał się książę. — W drodze do Les Baux widziałem, że pośród liści czerwienią się wiśnie. One zwykle dojrzewają pierwsze.

— Widziałam mnóstwo drzew oliwkowych — przypomniała sobie Simonetta — lecz nie sądzę, by nadawały się na smaczny napój.

W trakcie rozmowy za drzwiami rozległy się kroki. Oboje obejrzeni się zdziwieni, bo do domu wszedł jakiś mężczyzna. Przybysz widocznie był Francuzem: miał ciemne włosy i oczy. Ubrany był w strój dojazdy konnej, a jego wypolerowane buty tak lśniły, że zdawało się w nich odbijać całe otoczenie.

— *Bonjour*. Czy Louis Gautier jest w domu? — spytał po francusku.

Książę powoli podniósł się z krzesła.

— Nie, jest w Paryżu — odparł. — Jestem jego przyjacielem, użyczył mi swego domu.

— Skoro Gautier to zrobił, bez wątpienia jest pan artystą — rzekł z uśmiechem Francuz.

— Staram się nim zostać — powiedział książę. — Nazywam się Clyde Calvert.

Francuz popatrzył na niego marszcząc w zamyśleniu brwi.

— Ze sposobu, w jaki mówi pan po francusku, wnoszę, iż jest pan Anglikiem, monsieur — powiedział po chwili. — Zdaje się, że Gautier wspo-

minał mi o panu. Chyba sprzedał kilka pańskich obrazów.

— Ja nie sprzedaję swych obrazów — rzekł bardzo oschle książę.

Francuz zaśmiał się.

— Większość malarzy mówi „dopóki nie będę miał okazji czegoś sprzedać”. Jak rozumiem, na rynku nie ma popytu, lecz czyż był on kiedykolwiek łaskawy dla artystów? Książę milczał. Simonetta zauważyła, że Francuz nie patrzy na ojca, lecz na nią.

— Pan pozwoli, że się przedstawię — rzekł po chwili gość. — Hrabia Jacques de Laval. Jestem miłośnikiem sztuki i co może potwierdzić Gautier, jego dobrym klientem.

Książę skinął głową, nic jednak nie powiedział.

— Czy nie przedstawi mnie pan mademoiselle? — Po chwili odezwał się hrabia.

— To moja... moja uczennica — odparł szybko książę. — Nazywa się Simonetta.

— Wielce odpowiednie imię — zauważył hrabia. — Jego właścicielka jest niezwykle podobna do swej imienniczki.

Podszedł do Simonetty i ta podała mu rękę. Nie uścisnął jej, jak się spodziewała, lecz podniósł do ust.

— *Enchante*, mademoiselle — powiedział. — A skoro jest pani malarką, mam nadzieję, że pozwoli mi pani obejrzeć swoje prace.

— Nie ma wiele do oglądania — odparła szybko Simonetta.

Hrabia roześmiał się.

— Interesuje mnie wszystko, co pani namalowała.

Był to z całą pewnością komplement. Simonetta z niepokojem spojrzała na ojca. Ku jej zdziwieniu książę nie zdenerwował się tym, że hrabia próbuje nadskakiwać jego córce.

Uśmiechnął się natomiast i wykrzyknął:

— Laval! Teraz już wiem, gdzie słyszałem pańskie nazwisko. W zeszłym roku kupił pan obraz Claude'a Moneta. Powiedział mi o tym. To wielki zaszczyt mieć ten obraz w swojej kolekcji.

— Bardzo podziwiam Moneta — rzekł hrabia.

— Ja także — przytaknął mu książę.

Bez zachęty ze strony księcia hrabia usiadł na krześle i po chwili obaj mężczyźni dyskutowali o pracach Moneta.

— On odkrył siłę światła — powiedział książę. — Czyż można coś lepszego powiedzieć o tym niezwykłym człowieku?

— Istotnie — zgodził się hrabia.

Podczas rozmowy jego spojrzenie nieustannie wędrowało ku Simonetcie. Dziewczyna odniosła wrażenie, że Laval rozmawia z ojcem tylko po to, by móc dłużej się jej przyglądać. Mogła się mylić, nie była pewna, lecz spojrzenie ciemnych oczu hrabiego onieśmiało ją, więc wstała i wyszła

do kuchni, by sprawdzić, czy wrze woda w czajniku.

— Pańska uczennica jest bardzo młoda — zauważył hrabia zmieniając nagle temat rozmowy.

— Tak, młoda — odparł szybko książę. — Zabrałem ją ze sobą tylko dlatego, że odkryłem w niej wielki talent i szkoda byłoby go zaprzepaścić.

— Oczywiście — przytaknął hrabia.

Gdy Simonetta wróciła z tacą, na której stał imbryk z herbatą i trzy filiżanki, powiedział:

— Monsieur Calvert, pragnę pokazać panu i pańskiej uczennicy moją kolekcję obrazów.

Jej część przechowuję w *chateau*, chociaż rzecz jasna większość jest w Paryżu.

— Przybyliśmy tutaj na krótko — rzekł książę po chwili — i jak najwięcej czasu chcemy poświęcić malowaniu.

— Obiecuję, że nie zabiorę państwu czasu przeznaczonego na pracę — zapewnił go hrabia z uśmiechem — więc zapraszam państwa na wieczór. Jeśli pan i mademoiselle Simonetta zechcecie zjeść ze mną jutro kolację, nie tylko przyślę po państwa powóz, ale również pokażę państwu *Lato Moneta*, które kupiłem sześć lat temu.

— Pan kupił *Latol* — wykrzyknął książę. — Zawsze chciałem zobaczyć ten obraz.

— Wisi na honorowym miejscu w moim *chateau*. Mam też obrazy wielu innych impresjo-

nistów, takich jak Manet i Renoir, które zapewne również państwa zachwycą. Simonetta wiedziała, że ojciec nie potrafi odrzucić takiego zaproszenia. Z drugiej strony z niepokojem zaczęła się zastanawiać, co na siebie włoży. Księżę stanowczo nie życzył sobie, by wzięła do Francji wieczorowe suknie. Jego zdaniem wzbudziłoby to podejrzenia. Zdawać się mogło, że hrabia czytał w jej myślach.

— Oczywiście kolacja nie będzie bardzo uroczysta, więc nie obowiązują stroje wieczorowe. Sądzę też, że będą państwo malować aż do zachodu słońca, więc proszę przyjść, tak jak państwo stoją.

— To bardzo miło z pana strony — rzekł serdecznie książę. — Mam wielką ochotę obejrzeć *Lato Moneta*. Obraz został sprzedany, zanim zdążyłem się zorientować, i często dyskutowałem na jego temat.

— Więc prawdziwą przyjemnością będzie dla mnie pokazać go państwu — powiedział hrabia.

Zrezygnował z herbaty, którą poczęstowała go Simonetta, i z ociąganiem wstał z krzesła.

— Zostawiłem konia pod opieką tutejszego chłopca — wyjaśnił — i nie jestem pewien, czy mały dobrze wywiązuje się ze swego zadania.

Podał księciu rękę.

— *Au revoir*. Zobaczymy się jutro wieczorem.

— Dziękuję — rzekł książę. Hrabia ujął dłoń Simonetty.

— Czy ktoś już kiedyś pani mówił, mademoiselle, że trudno byłoby *znaleźć* powabniejszy temat obrazu niż pani twarz i oczy? Chyba tylko Botticelli potrafiłby oddać je w pełnej krasie.

— Jako malarkę bardziej interesują mnie pejzaże — odparła skromnie Simonetta.

— Musimy znaleźć kogoś, kto panią namaluje, kogoś, kto potrafi patrzeć — ciągnął hrabia.

— Monsieur, ja chcę zostać malarką, a nie modelką.

— Jeszcze o tym porozmawiamy.

Kiedy hrabia pocałował jej rękę, jego wargi spoczęły na chwilę na jej skórze. Gdy książe odprowadził go do drzwi, Simonetta wytarła rękę w spódnicę. Nie wiedziała dlaczego, ale dotyk jego warg sprawił, że przeszedł ją dreszcz.

Książe wrócił do saloniku.

— On stanowczo zbyt się tobą interesuje

— powiedział podnosząc do ust filiżankę, którą wcześniej odstawił, by pożegnać gościa.

— Mam szczerą chęć zostawić cię w domu i samemu pójść do niego na kolację.

— Ależ, papo! — zaprotestowała Simonetta.

— Chcę zobaczyć Moneta! Naprawdę słyszałeś wcześniej o hrabim?

— Tak, słyszałem o nim. Kupił od impresjonistów wiele obrazów. Okazał się też szczodry względem kilku artystów.

— W takim razie jest chyba bardzo bogaty

— stwierdziła Simonetta — bo z tego, co mi mó-

wieś, wnoszę, że tylko nieliczni pragną kolekcjonować obrazy impresjonistów.

— To prawda — zgodził się książę — lecz założę się, że pewnego dnia ludzie tacy jak Monet, Renoir i Cezanne spotkają się z należytych uznaniem.

_ Pewnego dnia? — powtórzyła Simonetta.

— To znaczy, kiedy już ich nie będzie na świecie!

— Niestety raczej tak. Szkoda że człowiek musi umrzeć, zanim docenią go inni.

— To bardzo smutne, że często tak się zdarza, lecz twoje obrazy podziwiam już teraz i mam nadzieję, że kiedyś ktoś doceni moje.

— Nie mam nic przeciwko temu, by inni doceniali twoje obrazy, ale na Jowisza, niech trzyma ją z dala od ciebie swoje łapska, bo zabiorę cię z powrotem do Anglii!

— Najpierw jednak muszę namalować skały w Les Baux. Poza tym wydaje mi się, że hrabia zachowuje się tak względem każdej kobiety, którą spotyka.

— Tego jestem pewny! — rzekł książę oschłym tonem. — Nie zamierzam jednak dopuścić do tego, by uznał cię za kolejną ze swych „zdobyczy”.

Mówił z taką złością, że Simonetta wybuchnęła śmiechem.

— Zapomnij o nim, papo, i pokaż, co namalowałeś dzisiejszego popołudnia.

— Dopiero zacząłem — odparł książę. — Tutejsze światło jest tak bajeczne, że mam zbyt mało farb, aby przedstawić wszystko na płótnie.

Kiedy jednak pokazał córce obraz, przekonała się, że światło pomogło mu przedstawić to, co czuł raczej, niż widział, i wyraził to za pomocą wspaniałych barw.

— To świetne, papo! — rzekła z zapalem Si-monetta. — Mam wrażenie, że ten obraz będzie najlepszy spośród twoich dotychczasowych dokonań.

— Miejmy nadzieję. Zawsze jesteśmy pełni optymizmu, gdy rozpoczynamy pracę, by po jej zakończeniu dostrzec wszystkie jej braki.

— Jestem pewna, że twój przyjaciel Claude Monet byłby zachwycony twoimi postępami — powiedziała z uśmiechem.

Rozmawiali o malarstwie, dopóki nie dobiegły odgłosy z kuchni, które oznaczały, że wróciła Maria.

— Zjemy dziś wcześniej — powiedział książę. Pójdiesz spać, a ja wybiorę się do gospody, by zobaczyć, kto się tam zatrzymał.

— Gdyby nie ja, zapewne poszedłbyś tam dużo wcześniej — zaśmiała się Simonetta.

— Nie idę szukać towarzystwa — odparł książę. — Chcę kupić trochę wina. Nie zamierzam urządzić tu przyjęć, lecz musimy mieć coś w domu, by w razie czego poczęstować niespodziewanych gości.

— Oczywiście, papo — zgodziła się Simonetta. — Sami również chętnie wypijemy czasem lampkę. Wiele słyszałam o wybornych winach

Prowansji. Byłoby dla nas wielką stratą, gdybyśmy ich nie spróbowali.

Książę uśmiechnął się.

— Z chęcią skosztuję Chateau Neuf du Pape, które uchodzi za najbardziej wyśmienite wino w departamencie Rhône. Myślę też, że od czasu do czasu możemy być rozrzutni i pozwolić sobie na butelkę szampana.

Simonetta spojrzała na ojca. Zaczynała mu się podobać wizyta w Prowansji. Bała się jednak, że zdarzy się coś, co popsuje mu nastrój, a wtedy odeśle ją do Anglii i może już nigdy nie wybierze się z ojcem w podobną podróż. Musi więc cieszyć się każdą chwilą. Podczas posiłku prowadzili wesołą rozmowę. Kurczak z estragonem polany był tak wyśmienitym sosem, że Simonetta zrozumiała, dlaczego monsieur Gautier po jego zjedzeniu liże palce. Na przystawkę Maria podała kiełbiki, a na deser suflet o smaku likieru truskawkowego.

— Masz w zupełności rację, Mario — rzekł książę, gdy służąca przyszła zebrać naczynia.

— Jesteś najlepszą kucharką nie tylko w Les Baux, lecz w całej Prowansji!

— *Merci*, monsieur — odparła Maria wyraźnie zadowolona z komplementu. — Potrafię gotować, jeśli mam właściwe produkty, ale one kosztują mnóstwo pieniędzy.

— Gdy wydasz wszystko, co ci dałem — rzekł książę — przyjdź do mnie i dostaniesz więcej. Jeśli

mademoiselle i ja zbytnio się utuczymy na twojej kuchni, zawsze możemy zrzucić winę na ciebie.

— Pan nie będzie tłusty, monsieur — rzekła ostro służąca. — Będzie pan zdrowy i szczęśliwy. Czego nie mogłabym powiedzieć o tych szkieletach, które tu przyjeżdżają malować i nigdy nie sprzedają żadnego obrazu.

Nie czekając na odpowiedź wróciła do kuchni.

— Najwyraźniej — powiedział ze śmiechem książę — artyści nie są mile widziani w Les Baux.

— Cóż, przynajmniej miejscowi nie każą sobie płacić za światło! — zauważyła Simonetta.

— Jestem pewien, że robiliby to, gdyby tylko mogli; — odparł książę. — Francuzi nie przepuszczą żadnej okazji zarobku.

Wstał od stołu.

— Idź teraz do łóżka, Simonetto. Jutro wstajemy wcześnie i ruszamy do pracy.

— Jutro pójdę z tobą — odparła Simonetta. — Będę jeszcze miała mnóstwo czasu, by dokończyć mój widok ogrodu, kiedy ty zajmiesz się innymi sprawami.

— Świetnie — uśmiechnął się książę — ale ostrzegam cię: jeśli namalujesz ten sam widok lć-piej ode mnie, będę okropnie zazdrosny!

Simonetta pocałowała ojca w policzek.

— Kocham cię, papo — powiedziała. — Tylko żeby rozmowa z przyjaciółmi nie pochłoneła cię całkowicie. Nie zapomnij, że tu jestem.

— Nie obawiaj się.

Po chwili był już w drodze do gospody. Simonetta uznała, że mimo nietypowego i nader skromnego ubioru ojciec prezentuje się wspaniale. Maria uprzątnęła już stół i głośno zmywała w kuchni naczynia.

Simonetta podeszła do drzwi. Słońce w złocistej aureoli ginęło za horyzontem. W górze niebo już ciemniało. Wkrótce nad Les Baux miały rozblysnąć gwiazdy.

Mam nadzieję, że wzejdzie księżyc — pomyślała Simonetta.

Wiedziała z książek, że nie ma nic piękniejszego i bardziej tajemniczego niż światło księżycy padające na potężne głazy i ruiny zamku. Uznała, że mimo długiego dnia nie jest jeszcze zmęczona. Wyszła do ogrodu, a potem na zakurzoną dróżkę pnącą się w górę ku szczytom Les Baux. Na dróżce tej zniknął ojciec.

Muszę zobaczyć ruiny zamku i wyobrazić sobie jego splendor, w czasach gdy przebywał tam dwór i trubadurzy śpiewali pieśni o czystej, platonicznej miłości.

Rozmyślając o tamtych czasach Simonetta oddaliła się nieco od domu. Nagle po lewej stronie dróżki ujrzała coś, co przywodziło na myśl piękny rzeźbiony pomnik. Padały na niego promienie zachodzącego słońca. W jego wnętrzu panował już mrok, lecz dach zdawał się lśnić jak obsypany klejnotami. Simonetta była ciekawa, czym jest ta bu-

dowla, więc zbliżyła się i przeszła przez niski żywopłot z dzikiej lawendy. Kiedy znalazła się przy pomniku, zauważyła, że choć bardzo stary, znajduje się w dobrym stanie. Pod kopułowym dachem wspartym na kolumnach spostrzegła coś w rodzaju kamiennych ławek. Weszła do środka. Doznała nagle wrażenia, że ludzie, którzy bywali pod tym dachem, nadal są tu obecni, chociaż minęły wieki. Słyszała niemal ich głosy. Przysiadła na chłodnym kamieniu. Potem stanęła w wejściu i rozpostarłszy ramiona, oparła ręce na dwóch kolumnach. Uniosła wzrok ku górze, gdzie na tle ciemniejącego nieba jarzył się niesamowitym blaskiem jeden z płaskich głazów Les Baux. Simonetcie zdało się, że jasność emanująca z głazu wnika do jej wnętrza i ona sama także zaczyna odbijać światło. Nagle spuściła głowę, jakby przypomniawszy sobie, że musi wracać do domu i usłyszała czyjś głos:

— Nie ruszaj się! Zostań tam, gdzie stoisz!

Rozkaz był tak ostry i niespodziewany, że Simonetta zamarła w bezruchu. Jednocześnie spojrzała w stronę, z której dochodził głos. Pośród krzaków i zarośli dostrzegła ciemną sylwetkę mężczyzny. Siedział w półmroku przed sztalugami i najwyraźniej malował budowlę, w której stała Simonetta. Dziewczyna uśmiechnęła się. Uświadomiła sobie, że przypadkowo stanęła w środku malowanego przez artystę motywu. Nie poruszyła się, gdyż nie chciała zepsuć efektu malarzowi, który zdążył już włączyć ją do swej kompozycji.

— Podnieś głowę i spójrz w górę tak jak przed chwilą!

Rozbawiona faktem, że nie poproszono jej o to w nieco grzeczniejszy sposób, uniosła twarz i spojrzała ku światłu, które teraz zaczynało już znikać z głazu. Przez kilka minut stała w milczeniu i całkowitym bezruchu.

— *Mon Dieu!* — krzyknął wreszcie artysta. — Czy coś może być bardziej irytujące niż zniknięcie światła? Już pani nie widzę.

Mężczyzna wstał i stąpając po bujnej trawie zbliżył się do Simonetty. Dziewczyna czekała i zastanawiała się, jak artysta wygląda. Po sposobie mówienia poznała, że jest to człowiek kulturalny i wykształcony. Kiedy podszedł bliżej, okazał się wysokim mężczyzną o ciemnych włosach. Był młodszy, niż się spodziewała. Stanąwszy naprzeciw niej, powiedział:

— Myślałem, że jesteś pani samą królową Joanną!

— Kto to taki? — zapytała Simonetta.

— To była jej świątynia — odparł. — A Joanna była rzecz jasna jedną z królowych dworu miłości.

— Jakież to fascynujące! — wykrzyknęła Simonetta. — Sądziłam, że dwór mieścił się wyłącznie na zamku.

Zdawało jej się, że mężczyzna się uśmiechnął, choć nie miała pewności, bo było ciemno.

— Wielbiciele królowej wznieśli dla niej tę małą świątynię, aby mogła odwiedzać ją zgodnie

ze swym życzeniem. Tutejsze *jeunes filles* przychodzą tutaj modlić się, by znalazły mężczyznę, który pokocha je całą duszą! — Zamilkł i spytał po chwili: — Czy o to też właśnie się pani modliła?

— Nie robiłam nic aż tak romantycznego — zaśmiała się Simonetta. — Wybrałam się tylko na zwiady.

— Sama o tej porze? A może szuka pani przygody?

— Po prostu chciałam się trochę rozejrzeć po okolicy.

— W takim razie jestem niezmiernie wdzięczny duchowi, który podsunął pani ten pomysł — rzekł artysta. — Właśnie pani brakowało mi na pierwszym planie.

— Maluje pan o późnej porze.

— Pracowałem cały dzień. Obraz nie wychodził tak, jak chciałem, i nagle pojawiłaś się ty, mademoiselle. Od razu zrozumiałem, że byłaś potrzebna, aby mój obraz stał się doskonały. Simonetta zaśmiała się.

— Skoro tak, monsieur, cieszę się, że mogłam panu pomóc.

Opuściła świątynię i ruszyła w stronę domu.

— Nie tak szybko! — zawołał malarz. — Dokąd idziesz?

— Wracam, skąd przyszłam.

— Nie możesz tego zrobić!

— Dlaczego?

— Ponieważ nie możesz być aż tak okrutna i nieczuła, by nie pozwolić mi dokończyć obrazu. Jutro musisz mi znowu pozować.

Simonetta potrząsnęła głową.

— Nie mogę. Sama będę zajęta malowaniem.

— Jest pani artystką?

— Bardzo chciałabym ją zostać.

— Jest pani zbyt młoda i zdecydowanie zbyt piękna, by zajmować się sztuką, chyba że dotyczy ona twego wyglądu.

_ Nie wydaje mi się — odparła Simonetta.

— Dobranoc, monsieur, i *bonne chance!*

— Jeśli tak po prostu odejdziesz — rzekł mężczyzna — przysięgam, mademoiselle, że każę cię szukać ludziom z całego Les Baux i z całą pewnością dowiem się, gdzie mieszkasz.

Simonetta odwróciła się i spojrzała na artystę. Choć nie dostrzegła jego twarzy, bo osnuwał ją cień, miała wrażenie, że może mu zaufać i że mężczyzna nie zagaduje jej jedynie po to, by nie odeszła.

_ Czy istotnie jestem panu niezbędna do namalowania obrazu? — spytała po chwili cichym głosem.

— Bez pani nigdy go nie dokończę.

— Ile czasu zajmie panu przeniesienie mnie na płótno?

— Niedużo. Kiedy stanęła pani w świątyni z rozpostartymi ramionami, cała kompozycja na-

brała życia. Przedtem była martwa i wiedziałem, że czegoś jej brakuje. Teraz wiem, że brakowało w niej pani!

Mówił szczerze, a w jego głosie nie brzmiała fałszywa nuta pochlebstwa. Po prostu stwierdził fakt i powiedział prawdę.

— A więc dobrze — rzekła z uśmiechem Si-monetta. — Wrócę tu jutro po południu. Może trochę wcześniej niż dzisiaj!

— Dlaczego nie rano? — spytał artysta.

— Bo będę malować z moim...

W ostatniej chwili ugryzła się w język i zamiast „ojcem” powiedziała „mistrzem”.

— Kto to taki? Ktoś, kogo znam? — chciał wiedzieć mężczyzna.

— Wątpię — odparła Simonetta — ponieważ jest Anglikiem.

— Mademoiselle, teraz rozumiem, dlaczego pani sposób mówienia wydał mi się nieco sztuczny, choć pani francuski jest wyjątkowo dobry, można by rzec niemal paryski. Muszę powiedzieć pani komplement: zna pani mój ojczysty język niemal doskonale!

— *Merci*, monsieur, ten komplement... potrafię docenić.

Zgasł ostatni promień słońca, więc rozmawiali w całkowitym mroku.

— Jutro będę panią lepiej widział — rzekł artysta. — A jeśli nawet nie skończę tego obrazu, na zawsze pozostanie w moim umyśle.

- Jak niedokończona symfonia — dodała bez namysłu Simonetta.
- Strata byłaby wtedy równie wielka, więc miejmy nadzieję, że tak się nie stanie.
- Przecież już panu obiecałam, że będę pozować.
- Pragnę wierzyć, że mi pani pomoże i nie zniknie w mrokach przeszłości jak królowa Joanna, że jest pani istotą z krwi i kości, a nie duchem.
- Mam nadzieję, że nie jestem duchem — rzekła Simonetta. — Tak mi zawsze żal duchów. Sądzę, że nawiedzają ten świat nie po to, by straszyć i niepokoić bliźnich, lecz dlatego że szukają utraconego szczęścia.
- Może dlatego w Les Baux roi się od duchów — zauważył artysta. — Może dawni bywalcy dworów miłości utraciwszy miłość, która tak wiele dla nich znaczyła, szukają jej teraz przez całe stulecia.
- To strasznie smutne! — zawołała Simonetta. — Ale myślę, że jeśli ktoś zaznał... prawdziwej miłości... jest... szczęśliwy, nawet jeśli... ta miłość okazała się nieodwzajemniona.
- Zapadła cisza.
- Mówi pani tak, jakby nigdy nie była zakochana — rzekł po chwili malarz. Simonetta naraz uświadomiła sobie, że zbyt spoufala się z nieznajomym.
- Ja... muszę już iść... *Adieu*, monsieur. Przyjdę... jutro.

— Pani pozwoli, że ją odprowadzę. Nie chciałbym się narzucać, lecz chodzi o pani bezpieczeństwo.

— Nie sędzę, by w Les Baux coś mi groziło.

— Na piękną kobietę, która samotnie odbywa spacer, zawsze czyhają niebezpieczeństwa, zwłaszcza w miejscu gdzie od wieków powietrze przesycone jest miłością.

— Myślę jednak... że bez przeszkód dotrę do domu — zaprotestowała Simonetta. — Mieszkam... naprawdę blisko.

To mówiąc zaczęła się oddalać, lecz artysta bez słowa podążył za nią. Kiedy doszli do żywopłotu z lawendy, Simonetta nieomal się potknęła, jednak towarzysz wyciągnął do niej rękę. Niewiele myśląc podała mu swoją. Artysta mocno uścisnął jej dłoń i Simonetta miała wrażenie, że z jego palców emanuje prąd. Natychmiast pomyślała jednak, że tylko jej się zdawało. Mężczyzna pomógł jej przejść przez żywopłot, po czym ruszyli piaszczystą dróżką.

— Czy daleko jeszcze? — spytał, gdy wyswobodziła rękę.

— Mieszkam... dosłownie kilka kroków stąd.

— A więc w domu Gautiera?

— Tak, pan Gautier wynajął go mojemu mistrzowi. Pan zna Gautiera?

— Słyszałem o nim wiele dobrego. Gdybym zechciał sprzedać któryś z moich obrazów, zwróciłbym się do niego o pomoc.

Simonetta uśmiechnęła się, bo przypomniała sobie, co ojciec powiedział hrabiemu. W ciemności nie było widać jej twarzy, lecz malarz chyba zauważył uśmiech.

— Dlaczego się pani uśmiecha?

— Pomyślałam sobie — wyjaśniła — że nie jest pan w kłopotach finansowych jak inni malarze... w każdym razie impresjoniści.

— Próbuję zostać impresjonistą.

— Ja także — wyznała. — A czyż istnieje lepsze miejsce do ćwiczeń niż Les Baux?

— Jestem dokładnie tego samego zdania.

— Czy... często pan tu przyjeżdża?

— Kiedy tylko mogę.

Przyszło jej na myśl, że pewnie drogo go to kosztuje, zapytała więc:

— Gdzie pan mieszka? W Paryżu?

— Tak się składa, że pochodzę z Normandii.

— Więc dlatego jest pan wysoki jak na Francuza!

Znowu złapała się na tym, że ich rozmowa nabiera zbyt poufałego charakteru. Na szczęście było zbyt ciemno, by mógł dostrzec, że jej policzki spłonęły rumieńcem.

— Zauważyła pani, że jestem wysoki — rzekł malarz.

— Kiedy pan... zbliżał się do mnie... miał pan za sobą zachodzące słońce.

— Pani zaś stała pod światło. Było więc na tyle jasno, że ujrzałem, jak jest pani piękna!

Simonetta zamarła. Nabrała podejrzenia, że mężczyzna próbuje z nią flirtować. Ojciec gniewałby się, gdyby o tym wiedział. Odwróciła się i wyciągnęła rękę.

— Jesteśmy na miejscu, monsieur! — powiedziała. — Dziękuję... że odprowadził mnie pan do... domu.

Artysta ujął jej dłoń.

— Proszę wybaczyć, jeśli moja zbytnia szczerłość panią uraziła. Mówiłem jednak jako malarz.

Po tych słowach Simonetta pomyślała, że zarozumiałością z jej strony jest sądzić, iż chodziło mu o coś innego. Zawstydziała się swych niemądrych podejrzeń.

— Przepraszam...

— Ależ nie, miała pani słuszność — powiedział. — Niech się pani strzeże pochlebstw i obcych mężczyzn, którzy rozmawiają z panią w świątyni miłości. Odnoszę wrażenie, choć mogę się mylić, że jest pani bardzo młoda i takie przygody nie przytrafiają się pani zbyt często.

— To... prawda.

Czuła, że nie powinna dłużej z nim rozmawiać, lecz pójść prosto do domu. Trzymał ją jednak za rękę i jakoś nie potrafiła odejść.

— Obiecała mi pani, że jeszcze się zobaczymy — powiedział cichym głosem mężczyzna

— lecz nie wyjawiała mi pani swego imienia.

— Nazywam się... Simonetta.

— Oczywiście! Mogłem się domyślić!

Czuła, że jest zbyt zakłopotany, by dalej pytać, więc tym razem ona zadała mu pytanie:

— A pan... monsieur?

— Pierre Valery.

— I jest pan znanym malarzem? Potrząsnął głową.

— Żałuję, że nie mogę odpowiedzieć twierdząco na pani pytanie, lecz nie będę ukrywać, iż nikt o mnie nie słyszał. Przynajmniej na razie!

— Ale myśli pan, że stanie się sławny? Ja... też mam taką nadzieję.

— Powiedziałbym, że każdy impresjonista chciałby zyskać uznanie nie tyle dla siebie, co dla przesłania, które stara się przekazać tym, którzy gotowi są go wysłuchać.

— To trudne wiedzieć, że ma się do przekazania światu coś, co właściwie zrozumiane może rozjaśnić umysły tych, którzy potrzebują... natchnienia.

Simonetta mówiła tak, jakby rozmawiała z ojcem. Serce dyktowało jej słowa. Na chwilę zapadła cisza.

— Jak może pani tyle rozumieć, będąc tak młodziutką i zarazem wyjątkowo piękną? — rzekł wreszcie Pierre. — Dziękuję za to, co przed chwilą od pani usłyszałem!

Nie mogła wątpić w szczerść jego słów. Była poruszona, choć nie potrafiła dojść przyczyny stanu swego ducha. W jej sercu zagościła nie znana

dotąd emocja. Znowu wyraźnie poczuła prąd bijący z palców artysty.

— Dobranoc... monsieurh — rzekła niemal szeptem.

W chwilę później biegła skryć się w małym domku z czerwoną dachówką.

ROZDZIAŁ 3

Simonetta odgarnęła włosy z czoła. Było jej gorąco. Słońce prażyło i zalewało świat blaskiem, w którym wszystko zdawało się iskrzyć i migotać. Spojrzała na płótno i z rozpaczą pomyślała, że nigdy nie uda jej się uchwycić gry światła w Les Baux i że równie dobrze może zaprzestać dalszych prób. Natychmiast jednak potępiła się za brak wytrwałości. Zaczęła się zastanawiać, co czuje ojciec. Spojrzała w jego stronę. Znajdował się niedaleko. Celowo ustawiła dalej sztalugi, by obrać inną niż ojciec perspektywę. Nagie, złowieszczo wyglądające skały stanowiły wyzwanie dla każdego artysty. U ich stóp rosły kwitnące drzewa i pełniły straż ciemne cyprysy. Żółte kwiecie janowca jarzyło się na tle fioletowej, świeżo zakwitłej lawendy.

Zbyt dużo kolorów na raz! — pomyślała Simonetta. Zrozumiała, dlaczego widok ten stawia wysokie wymagania artystom.

Rano ojciec był nieco rozczarowany malarzami, których spotkał wieczorem w gospodzie. Ni-

gdy nie bywał zbyt rozmowny przy śniadaniu, Si-monetta domyśliła się jednak, że nie spędził czasu tak przyjemnie, jak się spodziewał. Miała tylko nadzieję, że nie obwinia jej za to.

— Z tego co słyszałem — rzekł, gdy skończyli śniadanie — jutro przyjeżdża Paul Cézanne. Z nim jednak nigdy nic nie wiadomo.

— Mówiłeś, zdaje się, że on mieszka w Prowansji — zauważyła Simonetta.

— To prawda — odparł książę. — Ma pracownię w Aix, to jego rodzinna posiadłość. Jego przyjaciele, z którymi wczoraj rozmawiałem, powiedzieli, że przybędzie mnie odwiedzić. Spodziewają się go już od kilku dni.

Zauważył wyraz twarzy Simonetty i dodał:

— Wiem, że chcesz go poznać, i spróbuję go tu sprowadzić. Nie chcę jednak, byś chodziła do gospody.

Umilkł, po czym wzięwszy płótno i sztalugi, zapytał:

— Idziesz ze mną?

— Oczywiście, papo.

Nie rozmawiali w drodze, gdyż wiedziała, że ojciec tego nie lubi. Szli piaszczystą ścieżką do miejsca, w którym wczoraj książę zaczął malować swój pierwszy w Les Baux obraz. Kiedy wreszcie wybrała właściwe miejsce na sztalugi, przyłapała się na tym, że zastanawia się, jak Pierre Valéry radzi sobie ze szkicem świątyni miłości. Uprzytomniła sobie dwie sprawy: po

pierwsze, nie powiedziała ojcu o swojej wieczornej przygodzie i po drugie, obiecała Pierre'owi Valéry, że przyjdzie pozować do obrazu, zapominając, iż dziś wieczorem ma udać się z ojcem na kolację do hrabiego. Pierwszą kwestię mogła rozwiązać, opowiadając o wszystkim ojcu podczas lunchu. Przypomniała sobie jednak, jak mówił, że jeśli zacznie romansować z jakimś mężczyzną, wróci do domu.

Trudno to nazwać romansowaniem — uznała w myślach. Poza tym ojciec może zganić ją za to, że wyszła z domu, choć obiecała pójść do łóżka. Może być też oburzony, że rozmawiała z obcym artystą, któremu nie była przedstawiona i o którym nic nie wiedziała. Lepiej będzie jak nic nie powiem — postanowiła. _ Nie, żebym się... wstydziła tego, co zrobiłam... ale po prostu... wolę nie niepokoić papy.

Zerknęła w stronę ojca. Przyszło jej na myśl, że nawet kiedy siedzi przy sztalugach, jest przystojny i wygląda jak prawdziwy dżentelmen. Choć starał się ukryć pod przebraniem artysty, zdradzała go pańska, szlachetna postawa. Simonetta zastanawiała się, czy do niej stosuje się to samo, lecz wydało jej się wątpliwe, by ktokolwiek odkrył, że jest arystokratką. Była na tyle rozsądna, by wiedzieć, że ojciec nie życzyłby sobie tego. Nie powinnam go niepokoić, skoro dopiero co zaczęła się nasza wspólna przygoda — pomyślała — bo gotów nigdy więcej nie zabrać mnie ze sobą.

Rano ubrała się bez pomocy pokojówki, a Maria po prostu zostawiła śniadanie na stole w saloniku, by obsłużyli się sami. Simonetta potrafiła wyobrazić sobie, co czuje ojciec, kiedy może od czasu do czasu uciec od wystawnego trybu życia, jaki prowadzi w Faringham Park i pozostałych domach. Zawsze otaczali go ludzie, którzy skakali koło niego, rozpieszczali go i czekali na jego najmniejsze skinienie/Podobnie było z Simonettą. W dzieciństwie opiekowała się nią niańka i piastunka. Oprócz nich na usługach pokoju dziecinnego pozostawała pokojówka i lokaj. Później pojawiły się guwernantki. Uczyły ją przedmiotów, które ojciec uznał za niezbędne dla jej wykształcenia. W przeciwieństwie do większości rodzin szlacheckich, które kształciły jedynie synów i zaniedbywały córki, książę kładł nacisk na to, by Simonetta odebrała taką samą edukację jak jej bracia. Dlatego też oprócz stałej guwernantki i oczywiście niani, która pozostała z Simonettą do czasu odejścia na emeryturę, książę zatrudniał nauczycielki francuskiego, greki, łaciny, muzyki i wielu innych przedmiotów, jakich tylko córka chciała się uczyć. Simonetta brała nawet korepetycje z matematyki, którą uznała za wyjątkowo nudną i w rezultacie do dziś miała trudności przy wykonywaniu bardziej skomplikowanych działań arytmetycznych. Ponieważ niemal na każdym kroku towarzyszył jej ktoś ze służby, żyła jak w więzieniu i teraz po raz pierwszy w życiu poczuła się wolna.

Byłoby straszną głupotą — pomyślała — zaniepokoić ojca wiadomością, że zaraz po jego wyjściu zaczęłam prosić się o kłopoty. Zresztą zbeształby mnie za to, że rozmawiałam z Pierre'em Vatóry.

Była pewna, że ojciec zabroniłby jej spotykać się z malarzem i kazałby jej obiecać, że nie będzie sama wychodzić z domu. „Po prostu zapomnę powiedzieć mu o tym, co się zdarzyło” — pomyślała spoglądając na niebo. Zdawało jej się, że słońce zwalniają od grzechu i wyrzutów sumienia.

Druga sprawa była znacznie trudniejsza. Musi zawiadomić Pierre'a Valéry, że zapomniała o wcześniejszym zaproszeniu. Obiecała mu, że przyjdzie; poza tym byłoby wyjątkowo nieuprzejmie zlekceważyć zaszczyt, jaki jej uczynił mówiąc, że bez niej nie dokończy obrazu. Jeśli Simonetta się nie pojawi, nie tylko będzie to niegrzecznie z jej strony. Miała wrażenie, że rozczaruje artystę.

To tylko dlatego że jestem niezbędna w jego obrazie — przekonywała samą siebie.

Jednak uczciwie musiała przed sobą przyznać, że artysta chce ją zobaczyć nie tyle ze względu na obraz, co dla niej samej, i ona także pragnie się z nim spotkać.

Uczucie pustki w żołądku przypomniało jej, że zbliża się pora lunchu. Ojciec już do niej machał

— Musimy wracać — powiedział.

Simonetta zdjęła płótno, złożyła sztalugi i zaczęła brnąć przez wysoką trawę w stronę ojca.

— Jak ci idzie, kochanie? — spytał, gdy podeszła.

— Nie za dobrze — przyznała. — Problem w tym, że mnie przytłacza to piękno. Chyba lepiej poradzę sobie z czymś mniejszym i łatwiejszym.

— W ten sposób składasz broń — zaśmiał się książę.

— Wiem — rzekła Simonetta — ale musisz przyznać, że to dużo trudniejsze od wszystkiego, co dotąd malowaliśmy.

— To prawda — odparł ojciec — lecz trzeba wciąż próbować. Mam na myśli nie tylko malowanie, ale życie w ogóle.

Simonetta uśmiechnęła się.

Książę wziął płótno i sztalugi i bez słowa ruszył w stronę domu. Simonetta chciała zobaczyć, jak mu poszła praca, powstrzymała się jednak, wiedząc, że ojciec nie cierpi pokazywać swoich obrazów, dopóki ich nie skończy.

Ojciec i córka nie rozmawiali po drodze. Mieli świadomość otaczającego ich piękna. Byli głodni i z przyjemnością myśleli o czekającym ich pysznym lunchu. Kiedy doszli do domu, Simonetta znalazła rozwiązanie dręczącej ją kwestii. Po posiłku posłuży się jakąś wymówką, by ojciec wyszedł z domu przed nią, i pójdzie w to miejsce, gdzie wczoraj spotkała Pierre'a Valery. Zapewne umieści ją w środku kompozycji, ale zanim będzie

gotowa mu pozować, może dokończyć resztę obrazu.

Lunch był naprawdę smaczny. Simonetta zabawiała ojca rozmową i czas mijał szybko.

Kiedy ksiązę wypił drugą filiżankę kawy, powiedział:

_ Nie powinniśmy marnować światła. Cała

trudność polega na tym, że światło zmienia się z każdą godziną, z każdą minutą niemal.

Wciąż poprawiam to, co namalowałem, i w takim tempie nigdy nie skończę żadnego obrazu!

— Na pewno skończysz, papo! — zapewniła go Simonetta. — Musisz namalować przynajmniej dwa lub trzy płótna. Weźmiemy je do domu, aby w chwilach smutku przypominały nam piękno i radość, których zazналиśmy w Les Baux.

Książę wstał od stołu i pogłaskał córkę po głowie.

— Jesteś dobrym dzieckiem, Simonetto — powiedział. — Lubię mieć cię przy sobie.

Miałas rację: bez ciebie byłbym bardzo samotny.

— Uwielbiam być blisko ciebie, papo. Książę podniósł płótno.

— Jesteś gotowa? — zapytał.

— Idź już, papo. Ja cię dogonię. Chcę znaleźć kapelusz, bo mogę dostać udaru. Nie ma sensu, byś na mnie czekał.

— Masz rację.

Kiedy wyszedł z domu, Simonetta pobiegła na górę do swego pokoju i wyjęła z kufra kapelusz z dużym rondem, który w ostatniej chwili tam

schowała. Był zrobiony z miękkiej niełamliwej słomki, idealny na popołudniowy żar. Zeszła na dół, by zabrać przybory malarskie, zanim ruszy na spotkanie Pierre'a Valery. Po chwili szła ścieżką do świątyni, wiedząc, że ojciec odszedł już w przeciwnym kierunku. Szła szybko i zastanawiała się, co zrobi, jeśli nie zastanie artysty. Później trudno będzie się z nim spotkać w tajemnicy przed ojcem. Sądziła, że *chateau* hrabiego leży dość daleko od domu pana Gautiera, więc hrabia przyśle po nich konie wczesnym wieczorem. Hrabia podał pewnie ojcu dokładną godzinę, lecz książę albo o tym zapomniał, albo nie zwracał sobie głowy informowaniem Simonetty. W każdym razie będzie musiała wcześniej wrócić do domu, by umyć się i przebrać, chociaż nie ma odpowiedniej na wieczór sukni. Dotarła do skraju rumowiska, pośród którego stała świątynia. Ujrzała już żywopłot z lawendy, lecz miejsce, gdzie wczoraj siedział Pierre Valery, zasłaniały drzewa. Przez chwilę myślała, że artysty tam nie ma. Kiedy go dostrzegła, doznała ulgi. Przeszła przez żywopłot i ruszyła w stronę malarza. Nie zauważył jej od razu. Kiedy podniósł wzrok, na jego twarzy odbiło się niedowierzanie. Wstał zza sztalug z paletą w dłoni. Teraz Simonetta wyraźnie widziała jego twarz i przyszło jej na myśl, że jest przystojniejszy, niż zdawało jej się, gdy widziała go w półmroku. Po przodkach odziedziczył jasną karnację, ale jego oczy nie były bla-

doniebieskie jak u większości Normandczyków, lecz ciemne. Nie miała wątpliwości, że malarz ucieszył się na jej widok, bo jego twarz o ładnie zarysowanych ustach i zdecydowanych szczękach rozpromieniła się w uśmiechu. Simonetta szybkim krokiem brnęła przez wysoką trawę, więc dotarła do niego zdyszana.

— Uczyniła mi pani wielki zaszczyt przychodząc tutaj — powiedział. — Jednocześnie z ulgą stwierdzam, że jest pani istotą z krwi i kości. W nocy myślałem, że widziałem ducha albo jakąś zjawę i że nigdy już pani nie zobaczę.

Mówił cichym głosem, jak poprzedniego wieczora, więc Simonetta nie odniosła wrażenia, że malarz prawi jej ekstrawaganckie komplementy, lecz po prostu stwierdza fakt.

— Nie jestem duchem... więc przyszedłem! — rzekła z uśmiechem. — Jednak tylko po to, by powiedzieć, że nie mogę dotrzymać obietnicy i... pozować panu dziś... wieczorem.

— Dlaczego? — spytał ostro.

— Zupełnie zapomniałam, że mój... mistrz i ja zostaliśmy zaproszeni dziś na kolację. Pierre Valery uniósł brwi.

— Nie miałem pojęcia, że jest w Les Baux ktoś, kto ma zwyczaj wydawać kolację.

— Nie jesteśmy zaproszeni do nikogo z Les Baux.

— Czy nie będzie zbyt impertynencją, jeśli spytam do kogo?

— To żadna tajemnica — odparła Simonetta. — Hrabia Jacques de Laval, który kolekcjonuje obrazy impresjonistów, zaprosił nas do swojego *chateau*.

— Hrabia! — mruknął cicho Pierre Valery.

— Zna go pan?

— Słyszałem o nim.

— Kupił Lato Moneta i pragnę obejrzeć ten obraz. Mówił też, że ma w swojej kolekcji wiele obrazów zakupionych od pana Gautiera, który użyczył nam swego domu.

— I oczywiście kolacja u hrabiego jest dużo ważniejsza niż pozowanie do mojego skromnego obrazu.

Powiedział to w nieprzyjemny sposób, więc Simonetta odparła natychmiast:

— Proszę mi wybaczyć! Bardzo mi przykro, że muszę pana zawieść, ale naprawdę zapomniałam o tym zaproszeniu, a poza tym... muszę towarzyszyć memu... mistrzowi.

— Sądzi pani, że zdziwiłby się, gdyby zechciała pani zostać w domu? — zapytał Pierre Valery.

— Tak, bardzo by się zdziwił — przyznała Simonetta.

Zapadła cisza. Po chwili Valery powiedział:

— Skoro już pani przyszła, czy nie mogłaby pani stanąć w świątyni tak jak wczoraj?

Przynajmniej dokończyłbym szkic pani postaci.

Simonetta zawahała się. Bezwiednie zerknęła przez ramię w stronę, w którą poszedł ojciec.

Ten gest lub wyraz twarzy musiały ją zdradzić, bo Pierre Valery powiedział:

— Sądzę, że nie powiedziała pani mistrzowi, jak nazywa pani tego człowieka, o spotkaniu ze mną.

Simonetta złękła się i jej policzki oblał rumieniec. Chciała już zaprzeczyć, lecz zwyciężyła uczciwość, która była główną cechą jej charakteru.

— Rzeczywiście... istotnie nie wspomniałam... o panu.

— Dlaczego?

— Sądziłam, że... to byłoby... nierozważne... Chociaż zdawała sobie sprawę, że w żadnym razie nie jest zobowiązana odpowiadać na jego pytania, czuła się do tego w jakiś sposób zmuszona.

— Kiedy wczoraj wieczorem mistrz poszedł do gospody, powiedziałam mu, że... idę... spać.

— Czy zdziwiłby się, gdyby pani zmieniła zamiar?

— Nie spodobałoby mu się, że... rozmawiałam... z kimś, komu nie byłam... przedstawiona. Zauważyła, że po tym wyjaśnieniu Pierre Valery uniósł ze zdziwieniem brwi.

— Skoro jest pani samodzielna, chyba ma pani prawo żyć swoim własnym życiem. Czyż nie tak?

Przez chwilę Simonetta zastanawiała się, co mu odpowiedzieć.

— Wydaje mi się — rzekła powoli — że mój... mistrz czuje się... odpowiedzialny za mnie. Pierre Valery uśmiechnął się.

— Jest więc rozsądny. Ze swej strony muszę przyznać, że niezbyt dobrze oceniam dzisiejsze młode kobiety, które twierdzą, że są samodzielne i że potrafią same o siebie zadbać.

— Myślę, że... ja to potrafię — rzekła stanowczo Simonetta.

— W żadnym wypadku nie powinna pani tego robić.

— Dlaczego? Dlaczego... tak... pan sądzi? Znow się uśmiechnął.

— Ponieważ osobą tak piękną jak pani trzeba się opiekować i chronić przed wilkami, tak, wilkami w owczej skórze, które czyhają w pobliżu.

Simonetta roześmiała się.

— Strasznie zabrzmiało to, co pan powiedział. Jednak jak dotąd nie widziałam żadnego wilka. Gdybym takiego spotkała... na pewno rozpoznałabym go.

— Proszę nie być tego zbyt pewną.

— Sądzę, że poznałabym się na kimś, kto jest... podły albo... nikczemny.

Sprzeczała się z artystą tak jak zwykła sprzeczać się z ojcem, nie tylko dla zabawy, ale też po to, by móc lepiej zrozumieć, co oboje mają na myśli, i wyciągnąć słuszne wnioski.

— A więc jest pani spostrzegawcza — zauważył Pierre Valery.

— Chyba tak. Mam intuicję i czuję nawet... fluidy emanowane przez ludzi, którzy mieszkali kiedyś na zamku i przez tych, którzy walczyli o jego zdobycie. Stali się częścią piękna, jakie tu króluje, wtopili się w nie na zawsze. Mówiła rozmarzonym głosem, czując, że bez trudu znajduje właściwe słowa, jakby od dawna mieszkały w jej umyśle.

— Rozumiem, co chce pani powiedzieć — rzekł Pierre Valery — bo sam czuję to samo.

— Oczywiście, że pan czuje. Impresjoniści uczą się raczej czuć niż widzieć, sięgać w głąb tego, co nie jest pisane poznać zwykłym, przeciętnym ludziom.

— Chcielibyśmy wierzyć, że jesteśmy impresjonistami — powiedział Pierre Valery. — Jednak niektórzy jedynie udają, pani zaś jest taka naprawdę, w głębi duszy.

Jego słowa sprawiły jej przyjemność. Uśmiechnęła się więc, a kiedy ich oczy się spotkały, trudno jej było oderwać wzrok od twarzy mężczyzny.

— Muszę... już iść.

W tej chwili przemawiał przez nią rozsądek i bała się dać posłuch sercu.

— Najpierw musi mi pani przez chwilę pozować — powstrzymał ją Valery. — Jeśli miałoby to ułatwić sprawę, porozmawiam z pani mistrzem i poproszę go o zgodę.

— Nie, nie! Nie wolno panu tego robić! — zaprotestowała natychmiast Simonetta. — Powie-

działam już, że... mistrz nie będzie zadowolony, że poznaliśmy się w tak... niekonwencjonalny sposób.

Pierre Valery wyglądał na zdziwionego.

— Nie rozumiem — powiedział. — Skoro jest pani studentką akademii sztuk pięknych i skoro rodzice pozwolili pani wyjechać za granicę z nauczycielem, wiecie pani raczej życie swobodne i niekonwencjonalne.

— Tak, oczywiście — zgodziła się Simonetta — ale nie chcę, by mistrz mnie zbeształ, że zamiast malować, marnuję czas na rozmowy, jak to robi wielu malarzy.

— A więc wie pani, że to obyczaj częsty wśród pani kolegów po fachu — rzekł z uśmiechem Valé-ry.

— Tak, oczywiście wiem o tym — odparła Simonetta czując, że właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał.

Artysta raz jeszcze spojrział na nią dziwnie i powiedział:

— Skoro może pani postępować wedle własnego uznania, błagam, by pani wróciła i pozwoliła mi skończyć obraz. Nie obchodzą mnie pani stosunki z mistrzem, o ile nie przeszkodzą pani w pomocy przy tworzeniu dzieła, co do którego jestem pewien, że trafi do Salonu jako „Obraz Roku”.

Oboje wiedzieli, iż coś takiego nigdy się nie stanie, więc Simonetta zrozumiała, że zdobył się na sarkazm i wybuchnęła śmiechem.

— Zostanę tylko pięć minut— powiedziała — a jutro, gdy mistrz wybierze się do gospody, może zdołam tu przyjść jak wczoraj wieczorem.

— Dla dobra obrazu — rzekł Pierre — proszę przyjść tak wcześnie, jak tylko pani może, dopóki będzie widno.

— Byłoby bardziej romantycznie, gdyby malował pan świątynię miłości w świetle księżyca.

— Już o tym myślałem — odparł — ale w Les Baux są inne miejsca, które podczas pełni księżyca robią większe wrażenie. Widziała je pani?

Simonetta potrząsnęła głową.

— Przyjechałam zaledwie wczoraj. Pierre Valery uśmiechnął się.

— A więc czeka panią coś naprawdę cudownego. Czy może mi pani coś obiecać?

— Boję się cokolwiek obiecywać, bo mogę nie być w stanie tego dotrzymać. Zawsze staram się dotrzymywać słowa, sądzę, że to... nieuczciwe łamać dane słowo.

— Zgadzam się z panią — powiedział Valery — i dlatego proszę mi obiecać, mademoiselle Simonetto, że będę pierwszą osobą, która pokaże pani Les Baux w świetle księżyca.

Oczy Simonetty zabłyśły.

— Zrobiłby pan to dla mnie? — spytała. — Bardzo chcę to zobaczyć, ale z kimś, kto zna najpiękniejsze miejsca, bo w przeciwnym razie mogłabym stracić najlepsze widoki.

— Obiecuję, że jeśli będę pani przewodnikiem, niczego pani nie straci.

Simonetta zastanawiała się przez chwilę.

— To będzie trudne — powiedziała.

— Poczekam.

Przeszło jej przez myśl, że ojciec gniewałby się na nią, gdyby wiedział o jej planach. Z drugiej strony nie wspomniał dotąd, że pokaże jej Les Baux nocą. Poza tym podejrzewała, że jutro wieczorem znowu zechce pójść do gospody, zwłaszcza jeśli będzie tam Cezanne.

Ponieważ gryzło ją sumienie, pomyślała, że przy najbliższej okazji wspomni, że poznała Pierre'a Valery. Ojciec mimo wszystko będzie zdziwiony i może nawet zgorszony, że poszła spotkać się z obcym mężczyzną zamiast siedzieć przykładnie w domu.

— Będę na panią czekał jutro wieczorem — rzekł cicho Pierre Valery.

— Przyjdę, jeśli tylko mi się uda. Pomyślała, że podjęła decyzję, która może mieć zgubne skutki. Było niemal tak, jakby zmaciła wodę w stawie i fale będą rozchodzić się tak długo, aż dotrą do brzegów. Po chwili jednak doszła do wniosku, że ponosi ją jedynie wyobraźnia. Instynktownie czuła, że może zaufać Pierre'owi Valery, choć nie miała pojęcia dlaczego. Bardzo chciała zobaczyć Les Baux w świetle księżyca i była całkowicie pewna, że Pierre Valery nie zrobi niczego niestosownego.

On jest tym, czym i ja staram się zostać: artystą — pomyślała. — To nas łączy. Poza tym zdziwiłby się bardzo i rozczarował co do mnie, gdybym upierała się, by pójść z przyzwoitką.

Ojciec wymagałby tego od niej, gdyby miała spotkać się z jakimkolwiek obcym mężczyzną. Zaś utrzymywanie przyjaznych stosunków z jednym z artystów, których lekceważono, potępiano i krytykowano nie tylko za głoszone przez nich idee, lecz także za styl bycia, byłoby dla lady Simonetty Terrington-Trench jawną obrazą moralności. Przecież wolno mi miło spędzić czas, skoro trafia się taka sposobność — pomyślała buntowniczo.

Wiedziała, że kiedy wróci do Anglii i zostanie przedstawiona na dworze królewskim, przyzwoitki nie będą jej odstępować. Ojciec wybrał już nawet krewne, które podejmą się tego zadania.

Taka okazja nie trafi ci się już nigdy w życiu.

Simonetcie zdało się, że słowa te przychodzą do jej umysłu z zewnątrz. Może same skały w Les Baux drwią z jej nadmiernej pruderii, która nie pozwala cieszyć się wolnością, póki na to czas.

— Przyjdę... obiecuję... że przyjdę — rzekła na głos.

Ujrzała radosne ogniki w oczach Pierre'a Valery. Najwyraźniej był zadowolony.

— A teraz będę panu pozować, ale tylko pięć minut, bo mój mistrz może zacząć się zastanawiać, gdzie się podziewam.

Nie czekając na jego odpowiedź, pobiegła przez szorstką trawę w stronę świątyni. Weszła do środka i stanęła tak jak wczoraj z rozpostartymi ramionami i odchyloną w tył głową, spoglądając na wznoszące się w górze wysokie skały. Jej biała suknia wtapiała się w tło, które stanowiły starożytne, pokryte rzeźbami kamienie. Tylko jej włosy skrzyły się jak płomień, były żywą barwną plamą, która zdawała się tańczyć w świetle słońca.

Pierre Valery wpatrywał się w cudowny widok, czując, że nawet samemu Botticellemu trudno byłoby przenieść na płótno jego tajemne piękno. Przez długą chwilę po prostu stał i patrzył. Potem z zapalem przystąpił do pracy.

Simonetta zdjęła płótno ze sztalug. Ojciec wciąż jeszcze był zatopiony w pracy, choć cienie stały się gęstsze i ciemniejsze, a słońce staczało się ku ziemi. Simonetta nie była zadowolona z tego, co namalowała. Postanowiła, że jutro zacznie od nowa. Może wtedy poczuje się, tak jakby jakaś niebiańska istota prowadziła jej rękę, nie dopuszczając do tego, by z każdym dotknięciem pędzla coraz bardziej psuła swój obraz.

Podeszła do ojca. Był tak zajęty obrazem, że nawet nie zauważył jej, dopóki się nie odezwała.

— Chyba powinnam już wrócić do domu, papo.

— Już? — zdziwił się.

— Robi się późno i jeśli mamy pójść na kolację do hrabiego, muszę się przebrać i doprowadzić do porządku, bo wyglądam jak czupiradło.

Księżę uśmiechnął się.

— Jeszcze nigdy nie zauważyłem, byś źle wyglądała, ale sądzę, że powinniśmy się trochę ogarnąć, choć nasz wygląd z pewnością nie dorówna elegancją *chateau* hrabiego.

— Wiesz o nim coś więcej oprócz tego, że jest protektorem impresjonistów? — spytała Simonetta.

— Niewiele — odparł książę — prócz tego, że jak wszyscy bogaci Francuzi żyje w luksusie, choć daleko mu do klasy panów z Les Baux!

Simonetta zaśmiała się.

— Żałuję, że zamiast do hrabiego nie wybieramy się do jakiegoś zabytkowego zamku. Pomyśl tylko, jakież to by było podniecające!

— W istocie — zgodził się książę — ale nie moglibyśmy tam podziwiać obrazu Moneta, a obraz ten jest tak naprawdę jedyną przyczyną, dla której zmarnujemy tak cenny dla nas czas.

Simonetta obrzuciła go baczny spojrzeniem.

— Cieszę się, papo, że nie lubisz hrabiego

— stwierdziła — bo mnie on też nie przypadł do gustu.

Książę nie odpowiedział. Utkwił wzrok w obrazie.

— Czy musimy dzisiaj iść do niego na kolację?

— spytała po chwili.

— Byłoby niegrzecznie odrzucić teraz zaproszenie, lecz szczerze mówiąc, należy on do ludzi, których nie cenię. Kiedy obejrzymy jego kolekcję, nie będziemy więcej szukać jego towarzystwa.

Chociaż ojciec o tym nie wspomniał, Simonetta wiedziała, że rozzłościły go komplementy, które prawił jej hrabia, i sposób, w jaki uniósł do ust jej dłoni.

— Jesteś bardzo mądry, papo. Całkowicie się z tobą zgadzam — powiedziała i zaraz ruszyła do domu.

Po powrocie czekała na nią kąpiel, którą Maria przygotowała w małej łazience przylegającej do pokoju ojca. Stały tam dwie kadzie: jedna z gorącą wodą, druga z zimną. W ten sposób kąpał się Louis Gautier podczas pobytów w swoim domu w Les Baux.

Po kąpieli pobiegła na górę, by się przebrać. Nie miała dużego wyboru, gdyż nie wzięła ze sobą strojów wieczorowych, włożyła więc różową sukienkę popołudniową, którą nosiła, gdy była dziewczynką. Pani Baines zmarszczyła całą spódniczkę z tyłu na kształt małej turniury i dodała szarfę z dużą kokardą. Po przeróbkach suknia z pewnością nie wyglądała na kupioną u Fredericka Wortha, ale ładnie prezentowała się na młodej dziewczynie i oczywiście nie była droga. Zgodnie z poleceniem ojca Simonetta upinała swoje długie włosy. Od czasu gdy wyjechali za granicę, splatała

je w ciasny koczek z tyłu głowy. Teraz uczesała się nieco bardziej elegancko, choć oczywiście nie była to tak wymyślna fryzura, jaką zrobiłaby w Anglii jej pokojówka przed debiutem Simonetty w Londynie.

Nie chcę wyglądać jak żebraczka na uczenie — rzekła sobie w duchu. — Jednak hrabia nie może nabrać podejrzeń, że nie jestem osobą, za którą się podaję.

Jako studentka akademii sztuk pięknych Simonetta narażała się na większe niebezpieczeństwo niż to, które groziłoby jej, gdyby hrabia zaczął podejrzewać, iż jest ona dystygowaną damą. Jednak Simonetta była tak niewinna, że nie zdawała sobie z tego sprawy.

Jako że książę zbyt późno oderwał się od pracy, nie był jeszcze gotowy, kiedy lokaj zapukał do drzwi, zawiadamiając, że powóz czeka. Simonetta zdążyła już opuścić swój pokój. Służący miał na sobie nieco pretensjonalną liberię i sprawiał wrażenie zgorszonego faktem, iż musi zajeżdżać przed tak mały i ubogi domek.

Simonetta podeszła do drzwi pokoju ojca.

— Papo, powóz przyjechał!

— Niech poczeka — odparł książę. — Nie mogę znaleźć spinki do kołnierza.

Simonetta weszła do pokoju i znalazła zgubę w zgrabnym pudełeczku, w które zaopatrzył księcia Jarvis i które zawierało z tuzin spinek do kołnierzyków i kilka par do mankietów.

— Skąd mogłem wiedzieć, że tam właśnie je schował? — rzekł książę poirytowanym głosem.

— Równie dobrze mógłbym pójść bez krawata i nawet byłoby mi wygodniej.

— Słusznie, papo.

— Żałuję, że przyjąłem to idiotyczne zaproszenie.

Zapiął spinę u kołnierza i dodał:

— To był wielki błąd, Simonetto. Nie należy bywać w wysoko postawionych kręgach towarzyskich, jeśli można swobodnie żyć pośród wyrzutków społeczeństwa!

— Którzy są niewątpliwie dużo bardziej zabawni — zaśmiała się Simonetta.

— Pójdę do gospody — zdecydował książę.

— Pójdę tam i powiem mu, że nie przyjedziemy. Simonetta wydała okrzyk przerażenia.

— Nie możesz tego zrobić, papo! To byłoby zbyt niegrzeczne. Hrabia mógłby nawet powziąć niechęć do wszystkich impresjonistów i nigdy już nie kupić od nich żadnego obrazu.

— Z pewnością masz słuszność — zgodził się ojciec. — A skoro jedynie nieliczni nie muszą sprzedawać obrazów, aby utrzymać się przy życiu, sądzę, że trzeba się poświęcić.

— Przekonamy hrabiego, by powiększył swą kolekcję sztuki współczesnej.

Książę włożył aksamitny płaszcz, który zabierał na swe tajemnicze wyprawy i który Simonetta żartobliwie nazywała jednym z jego rekwizytów.

— Chodź, Simonetto — powiedział. — Skoro już musimy się nudzić, lepiej mieć to jak najszybciej z głowy.

To mówiąc po raz pierwszy przyjrzał się córce.

— Dlaczego jesteś taka wystrojona? — spytał ostro.

— Wystrojona, papo?

— Gdzie są suknie, które poprzeraśniałaś specjalnie na wyjazd?

— To jedna z nich.

— Ejże, wyglądasz w niej zbyt sztywnie — stwierdził ze złością książę. — Tylko żadnych flirtów z hrabią. Pamiętaj, odjeżdżamy wkrótce po kolacji.

— Tak, papo, oczywiście. To mi odpowiada. Podobnie jak ty, chcę tylko obejrzeć obrazy. Twarz księcia rozpuściła się.

— Nie powinniśmy byli wdawać się w znajomość z tym osobnikiem — powiedział. — Zobaczmy obrazy i już nas nie ma.

Powóz, który na nich czekał przed domem, był zamknięty, jednak książę poprosił o otwarcie drzwi.

Dla Simonetty przejazdka w świetle zachodzącego słońca była czymś fascynującym. Powóz najpierw piał się pośród skał w górę ku zamkowi Les Baux, po czym zjechał w dolinę. Widok zapierał dech w piersi. Później jechali drogami, nad którymi rozłożyste gałęzie drzew utworzyły cieniste tunele. Minęli kilka małych ładnych osad.

Uliczki pełne były drzew, a na ich końcach wznosiły się łuki budowli, które pochodziły z okresu rzymskiego.

Podróż trwała pół godziny. Wreszcie przekroczyli most i ujrzeli za drzewami wieżyczki i dachy *chdteau*. Z oddali posiadłość przedstawiała sobą imponujący widok. Z bliska wyglądała jeszcze wspanialej. Kiedy zbliżyli się do podjazdu, Simonetta nie potrafiła opanować podniecenia na myśl, że oto podczas pobytu we Francji nadarzyła jej się okazja obejrzenia od wewnątrz prywatnego *chdteau*. Wiele się o nich naczytała i nasłuchiwała od ojca. Jednak co innego wyobrazać sobie, jak wygląda *chdteau*, a co innego naprawdę gościć w jednym z nich.

Poprowadzono ich holem, następnie wiodącymi na wysokie półpiętro schodami o balustradzie z rzeźbionego kamienia. Potem wskazano im drogę do salonu, który Simonetcie już na pierwszy rzut oka wydał się gustowny. Tu wisiały obrazy, które pragnęli zobaczyć.

W salonie czekał hrabia ubrany w wykwintny strój wieczorowy. Towarzyszyła mu bardzo atrakcyjna i elegancka kobieta. Obejrząwszy jej suknię, Simonetta natychmiast poczuła się tak, jakby była ubogim kopciuszkiem.

— Witam pana, monsieur Calvert! — rzekł wesoło hrabia zbliżając się do gości — i panią, mademoiselle Simonetto! Z prawdziwą przyjemnością goszczę państwa u siebie!

Uścisnęli sobie ręce. Hrabia nie pocałował dłoni Simonetty, za co dziewczyna była mu niezmiernie wdzięczna.

— Państwo pozwolą — rzekł po chwili — że przedstawię ich mojej siostrze, która zjawiała się tu całkiem nieoczekiwanie. Hrabina de la Tour — monsieur Clyde Calvert i mademoiselle Simonetta!

Hrabina, która podobnie jak brat miała ciemne błyszczące oczy, z ledwością raczyła zauważyć Si-monettę, za to wyzywająco spojrzała na księcia, co zaskoczonych dziewczynie wydało się obraźliwe.

— *Tiens!* — wykrzyknęła hrabina. — Brat nie uprzedził mnie, że zdarzają się impresjoniści wysocy, przystojni i dystyngowani! To z pewnością coś nowego!

— Pani mi zbyt pochlebia, madame — odparł książę.

— Lecz pan jest Anglikiem! — ciągnęła hrabina. — To zmienia postać rzeczy.

Przeszła na angielski i pokazała, że zna ten język bardzo dobrze. Mówiła z francuskim akcentem, co dodawało jej uroku.

Przed obiadem podano szampana, który według zapewnień hrabiego pochodził z jego własnych winnic w Epernay. Później wszyscy przeszli do jadalni, również pełnej obrazów francuskich mistrzów.

Simonetta zauważyła z rozbawieniem, że hrabina bardzo się stara zwrócić na siebie uwagę jej

ojca i prawi mu gładkie, wyszukane komplementy. Nie mogła jednak powstrzymać się od podziwu nad jej biegłością w sztuce uwodzenia.

— Chcę z panią porozmawiać, mademoiselle — rzekł hrabia, gdy jego siostra całkowicie zawładnęła księciem.

— Proszę wybaczyć, jeśli jestem nieuprzejma — odparła Simonetta — lecz po raz pierwszy w życiu mam przyjemność oglądać wnętrze francuskiego *chateau*.

— Śmiem twierdzić, iż w niczym nie przypomina miejsc, w których dotąd pani mieszkała — powiedział hrabia. — Czy ma pani własny pokój w Paryżu, czy też dzieli go pani z koleżankami?

Simonetta zamrugła powiekami. Widać mimo obaw księcia hrabia był przekonany, że Simonetta jest studentką. Słyszała od ojca, że wiele studentek przesiaduje w paryskich kawiarenkach, gdzie spotykają się artyści. Starają się zarobić trochę pieniędzy pracując jako modelki w akademii i w malarskiej pracowni, jeśli jakiś malarz zechce je wynająć. Jednak impresjoniści, którzy malują w plenerze, nie szukają modelek. Księżę mówił też Simonetcie, że czasem studentki miewają zatargi z zawodowymi modelkami, które z niechęcią patrzą, jak ktoś im odbiera pracę, i rzucają się z paznokciami do twarzy rywalek.

— Jestem niezmiernie dumny z mojego *chateau* — ciągnął hrabia. — Należy do mojej rodziny od trzech wieków.

- Nie został zniszczony w czasie rewolucji?
 - spytała Simonetta.
 - Początkowo pojawiła się taka groźba, lecz najbardziej ucierpiał Paryż.
 - Musi pan być bardzo dumny ze swojej posiadłości!
 - Przede wszystkim jestem dumny, że mogę pokazać ją pani!
 - Najbardziej interesujące są pańskie obrazy
 - rzekła Simonetta. — Nie mogę się wprost doczekać, kiedy zobaczę Claude'a Moneta, który jest przyjacielem mojego mistrza.
 - Pokażę pani ten obraz — obiecał hrabia — i mam nadzieję, że pod koniec wieczoru zostanie pani moją przyjaciółką.
- Simonetta odniosła wrażenie, że nacisk, jaki hrabia położył na słowo „przyjaciółka”, nadał mu inne znaczenie. Szybko zmieniła więc temat rozmowy.
- Musi mi pan powiedzieć, jakie obrazy kupił pan w ostatnim czasie. Słyszałam, że jest pan hojny dla impresjonistów, którzy mają wielkie trudności ze sprzedażą swoich prac.
 - Sądzę, iż dobrze znam się na sztuce — rzekł chełpliwie de Laval — i jestem pewien, że w przyszłości ci, którzy z pogardą wypowiadają się na temat nowej szkoły w malarstwie, będą musieli odszczekać swoje słowa!
 - Ja też mam taką nadzieję! — zgodziła się Simonetta i dodała żartobliwie: — Może do tego czasu nawet moje obrazy staną się cenne!

— Nie byłoby żadnych trudności z ich sprzedażą, gdyby pozwoliła pani mnie tym się zająć
— rzekł cicho hrabia.

Simonetta chciała już wyjaśnić, że nie potrzebuje pieniędzy, lecz bała się, że zabrzmiałoby to nienaturalnie. Zaczęła więc mówić o Claudzie Monecie, Renoirze i innych impresjonistach. Miała jednak wrażenie, że hrabia jej nie słucha, tylko wpatruje się w nią i taksuje ją wzrokiem. Spojrzenie jego ciemnych oczu onieśmiało Simonettę.

Nie ma żadnego powodu do obaw. Ojciec jest w pobliżu, a kiedy obejrzą obrazy, natychmiast opuszczą *chateau*. Później nie będą już zawracać sobie głowy osobą hrabiego. Jednak nie było to takie proste. Po typowo francuskiej kolacji wszyscy opuścili jadalnię, by przejść do salonu. Hrabia pokazał im obrazy wiszące na ścianach. Na samym końcu ujrzeli obraz Claude'a Moneta zatytułowany *Lato*. Nie zawiódł oczekiwań księcia i Simonetty. W posiadaniu hrabiego były też dwa inne obrazy Moneta, jeden Maneta i jeszcze jeden Sisleya. Ten ostatni był tak wspaniały, że Simonetcie zdało się, iż jego piękno jest wprost nieprawdopodobne.

Nie odrywała wzroku od obrazu i na chwilę zapomniała, gdzie się znajduje. Nagle zorientowała się, że hrabina wyciągnęła ojca do drugiego pokoju, który przylegał do salonu. Widziała ich przez otwarte drzwi i słyszała ich głosy, i by nie pozostać sam na sam z hrabią, instynktownie odwró-

ciła się, by podążyć za ojcem, lecz hrabia mocno złapał ją za rękę.

— Chcę z tobą porozmawiać — rzekł de Laval.

— Proszę, chcę zobaczyć obrazy w drugim pokoju....

— Będzie jeszcze na to mnóstwo czasu. Simonetta próbowała wyswobodzić rękę, ale hrabia mocno ją ścisnął.

— Proszę... to boli!

— Przesada — odparł hrabia. — Nie pozwolę ci uciec. Jesteś piękna, Simonetto, tak piękna, że od czasu gdy po raz pierwszy cię ujrzałem, myślę tylko o tobie.

Mówił w dziwny sposób i jego głos drżał z emocji. Simonetta rzuciła mu zdziwione spojrzenie: nigdy nie spotkała się z takim zachowaniem. Wzrok de Laval przypiekl ją jak rozgrzane żelazo. Ogarnął ją strach. Rzekła sobie w duchu, że nie wolno jej wpaść w panikę. Ojciec jest w drugim pokoju i hrabia nie może jej zrobić krzywdy. Znowu spróbowała wyrwać rękę z jego uścisku.

— Nie lubię być... dotykana.

— Ale ja chcę cię dotykać — odparł hrabia. — Musisz wiedzieć...

— O czym?

Pomyślała, że de Laval zachowuje się dziwnie. Nie chciała dopuścić do skandalu, by nie denerwować ojca.

— Calvert jest dla ciebie za stary — rzekł hrabia. — Ja lepiej bym się tobą zaopiekował.

Simonetta, która od dłuższej chwili unikała wzroku de Laval'a, teraz spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

— Ubiorę cię w drogie suknie — ciągnął hrabia niskim głosem. — Będiesz wyglądać jak królowa. Kupię ci klejnoty, powóz i apartament w Paryżu, jakiego pozazdrości ci każda kobieta. Wyjedziemy z Les Baux prosto do Paryża.

Simonetta była tak zaskoczona, że westchnęła tylko, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Kiedy zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co ma odpowiedzieć na tak bezczelną propozycję, z ulgą zauważyła, że księżę wraca do salonu.

ROZDZIAŁ 4

W drodze powrotnej do Les Baux Simonetta czuła się tak, jakby uciekała od czegoś znacznie groźniejszego i bardziej przerażającego niż sam hrabia.

Tłumaczyła sobie, że po prostu doznała szoku, że nigdy dotąd nie znalazła się w podobnej sytuacji. Niezbyt jasno rozumiała, co znaczyła propozycja de Lavała. Wiedziała tylko, że było to wstrętne i podłe i że Pierre Valery miał rację mówiąc o „wilkach w owczej skórze”, które na nią czyhają. Gdy tylko ojciec wrócił do salonu, podbiegła do niego i wsunawszy rękę pod jego ramię, powiedziała:

— Musi pan osobiście pokazać mi obrazy, *mon maitre*. W przeciwnym razie mogę nie zauważyć najciekawszych szczegółów, co byłoby dla mnie wielką stratą.

Czuła, że w pierwszej chwili ojciec spojrzał ostro na nią, a potem na hrabiego. Nic jednak nie powiedział i po prostu wyszedł z nią do drugie-

go pokoju. Tam prowadził ją od obrazu do obrazu, zwracając jej uwagę, jak dany artysta przedstawił światło lub jaki typ pociągnięć pędzla jest charakterystyczny dla jego stylu. Mówił to z takim przekonaniem i pewnością, że nawet hrabina nie ośmieliła się mu przerwać.

Przez cały czas Simonetta miała świadomość, że obserwuje ją podążający z tyłu hrabia. Wyraz jego oczu wprawiał ją w przerażenie. Potwornie się bała, że jakaś uwaga de Lavała nasunie ojcu podejrzenia co do jego zamiarów.

Na szczęście hrabia milczał. Mimo to Simonetcie zdawało się, że czas, jaki dzieli ich od opuszczenia *chdteau*, wlecze się w nieskończoność. Czuła się tak, jakby balansowała na cienkiej linii i każdy krok mógłby mieć katastrofalne skutki.

Ojciec strasznie by się rozzłościł, gdyby dowiedział się, co mówił jej hrabia. Tak więc chociaż zrazu chciała mu wszystko wyznać, rozmyśliła się, gdyż najprawdopodobniej następnego dnia wróciliby do Anglii.

Skąd papa i ja mogliśmy przewidzieć, że po tak krótkiej znajomości hrabia poważy się na taką impertynencję? — zastanawiała się Simonetta, gdy ich wizyta dobiegła końca.

Dopóki nie opuścili *chdteau*, starała się nie odstępować ojca, aby hrabia nie miał do niej dostępu.

— Kiedy znowu pana ujrzymy, monsieur? — spytała księcia hrabina.

Powiedziała to miękkim uwodzicielskim głosem, co kazało Simonetcie sądzić, że tak jak hrabia jest oczarowany nią, jego siostra interesuje się ojcem. Przywykła jednak widywać piękne damy, które spoglądały na księcia tęsknym wzrokiem i przemawiały do niego przymilnie i prowokująco. Była pewna, że ojciec potrafi skutecznie opędzić się od uwodzicielek, ją samą jednak zachowanie hrabiego wprawiało w przerażenie. Pragnęła jedynie jak najszybciej opuścić *chdteau* i wrócić wraz z ojcem do małego domku z czerwonej cegły, który jawił jej się jako bezpieczna przystań.

Wreszcie nadeszła chwila pożegnania. Kiedy Simonetta rzekła chłodno i stanowczo: „Żegnam pana, hrabio!”, w jego *au revoir!* zabrzmiała złowieszcza nuta, co wzbudziło w dziewczynie podejrzenia, iż hrabia nie dał za wygraną.

Kiedy zajęli miejsca w wygodnym powozie, który miał ich odwieźć do domu, ksiązę powiedział:

— Bogu dzięki, mamy to już za sobą! W każdym razie obrazy warto było zobaczyć! Simonetta wciąż wahała się, czy nie powiedzieć ojcu, co ją spotkało w *chdteau*. Po namyśle uznała, że lepiej do niczego się nie przyznawać.

— Były wspaniałe, papo — odezwała się po krótkiej chwili. — Cieszę się, że je widziałam.

— *Lato* to chyba najlepsza z prac Moneta — rzekł ksiązę w zamyśleniu.

— A ja nie sądziłam, że Sisley tak cudownie maluje.

— Widziałem się z nim podczas pobytu w Paryżu — odparł ojciec — ale zbyt krótko.

Następnym razem muszę odbyć z nim dłuższą rozmowę.

Całą drogę powrotną dyskutowali o impresjonistach. Simonetta usilnie starała się skupić na rozmowie, by zapomnieć o tym, co zdarzyło się, kiedy została sam na sam z hrabią.

Dlatego prawie nie patrzyła przez okno powozu, teraz zakrytego budą przez woźnicę.

Zauważyła jednak, że na niebie wzeszły już gwiazdy i jaśnieje księżyc. Próbowwała myśleć jedynie o tym, co mówi ojciec, i wsunęła rękę pod jego ramię, dzięki czemu poczuła się bezpieczniej.

Dopiero gdy wrócili do swego tymczasowego domu i książe ziewnął udając się na spoczynek, spytała z lekkim niepokojem w głosie:

— Papo, nie będziemy już musieli... więcej spotykać się z hrabią... prawda?

Chciała mieć co do tego pewność.

— Bynajmniej! — odparł książe. — Widziałem, że próbował z tobą flirtować podczas kolacji, co wydało mi się wyjątkową impertynencją. Sądzę jednak, że jego nieszczęsna żona nawykła do takich wybryków.

Simonetta przelekkła się.

— Jego... żona? A więc hrabia jest... żonaty?

— Oczywiście, że tak — odparł książe. — Zdaje się, że jego żona pochodzi z bardzo bogatej ro-

dziny i dzięki jej pieniądzom hrabia kupuje obrazy do tak zwanej swojej kolekcji. Simonetta zacisnęła usta. Teraz zachowanie hrabiego wydało się jej po dwakroć odrażające. Przez myśl jej nie przeszło, że może być żonaty. Skoro jednak był, w takim razie propozycja, że zabierze ją do Paryża, kupi jej suknie i klejnoty, była bez wątpienia obelgą, za jaką w ubiegłym wieku żądano by satysfakcji. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że niejedna studentka akademii, zwłaszcza jeśli byłaby uboga, przyjęłaby taką propozycję.

Nadal niezbyt jasno rozumiała, czego chciał od niej ten człowiek, jednak dotknięcie jego ręki było nieprzyjemne, a gdyby spróbował ją pocałować, co bez wątpienia zrobiłby, jeśli dłużej zostaliby sami, Simonetta przeżyłaby koszmar.

Nigdy więcej go nie spotkam — postanowiła. Kiedy jednak znalazła się sama w sypialni, zdało jej się, że hrabia na nią czyha i trudno będzie mu się wymknąć.

— Teraz już naprawdę zbytnio ponosi mnie wyobraźnia — rzekła na głos.

Strach jej jednak nie opuszczał. Bała się, że de Laval nie da się przechytrzyć i że jest na tyle zarozumiały, by wierzyć w jej rychłe zdobycie. Dopóki jestem z papą, on mi nic nie może zrobić — uspokoiła się. Jeśli zaś nie będzie przy niej ojca, obroni ją Pierre Valery. Z tego co powiedział dziś rano, wynikało, że nie darzy hrabiego sympatią i słyszał o nim wiele niepoehlebnych rzeczy.

Pierre Valery miał rację, absolutną rację — pomyślała Simonetta i zdecydowała, że skoro nie może zwierzyć się ojcu, opowie wszystko artyście. Leżąc w ciemności uznała, że to poniżające, by jakiś mężczyzna mógł sądzić, że ona zgodziłaby się wyjechać z nim do Paryża i przyjmować kosztowne prezenty, nawet gdyby rzeczywiście była studentką.

„Gdybym była biedna, mimo wszystko zachowałabym godność. Studentki akademii nie mogą szargać swojego dobrego imienia.” Przypomniała sobie, jak Pierre Valery ostrzegał ją, że samotne spacerowanie mogą być niebezpieczne dla pięknej kobiety. Simonetce nie przyszło jednak nigdy do głowy, że niebezpieczne może być przebywanie z mężczyzną, który uważa kobietę za piękną.

Cokolwiek się stanie, nie mogę zepsuć papie wakacji — rzekła sobie w duchu. — Nie powinien też niepokoić się, że przydarzy mi się coś złego.

Wiedziała, że jeśli tylko ojciec zacznie coś podejrzewać, nigdy więcej nie zabierze jej ze sobą na podobną wyprawę. Byłoby jej przykro, gdyby musiała zostać w domu, nawet z ulubioną ciotką Hurriet, a ojciec sam pojechałby do Francji.

Przemyślała wszystko spokojnie raz jeszcze i doszła do wniosku, że nie ma się czego obawiać i że ojciec nigdy nie powinien dowiedzieć się, co ją spotkało w *chateau*.

Kiedy zeszła rano na śniadanie, zastała ojca w pogodnym nastroju.

— Wspaniały dzień do malowania — powiedział — i nie tylko. Czuję, że dziś wszystko powinno się udać. Może to zasługa wina, które piliśmy wczoraj wieczór, zupełnie innego niż to, które serwują w gospodzie, lecz umysł mam jasny i czuję się dwadzieścia lat młodszy niż wczoraj.

— Papo, tylko nie staraj się zbyt odmłod-nieć — zaśmiała się Simonetta — bo ja z kolei będę za stara na twoją córkę.

Ksiązę uśmiechnął się do Simonetty.

— Bardzo ładnie dziś wyglądasz, kochanie! Uważaj, żebyś się nie opaliła. Wolę, kiedy masz białą skórę. Poza tym jak zapewne wiesz, poeci, trubadurowie zwłaszcza, wychwalali bladą cerę swoich wybranek.

— Musimy dowiedzieć się czegoś więcej

o trubadurach, dopóki tu jesteśmy — powiedziała Simonetta.

— Oczywiście — odparł książę.

Wiedziała jednak, że nie jest zbyt zainteresowany trubadurami i myśli jedynie o malowaniu. Natychmiast po śniadaniu wyruszyli w plener

i sumiennie pracowali aż do lunchu. W drodze do domu książę powiedział:

— Pomyślałem sobie, że skoro chcesz poznać Paula Cezanne'a, pójdę dziś do gospody, gdzie z pewnością będzie z przyjaciółmi, i zaproszę go na dzisiejszy wieczór.

— Wspaniale, papo — rzekła z poczucia obowiązku, lecz poczuła ukłucie w sercu.

Chciała poznać Cezanne'a, lecz jeśli ojciec zaprosi go na kolację, nie będzie mogła dotrzymać obietnicy danej Pierre'owi Valery. Nic innego jednak nie mogła powiedzieć.

Po wspaniałym lunchu, który ugotowała Maria, ksiązę powiedział:

— Idę teraz do gospody. Pod moją nieobecność możesz dokończyć widok ogrodu.

— Tak, papo, oczywiście — przytaknęła Simonetta.

Ksiązę wyszedł z uśmiechem na ustach i Simonetta wiedziała, że cieszy się z bliskiego spotkania z Cezanne'em, o którego obrazach często jej opowiadał.

Poczekwała, aż ojciec zniknie z pola widzenia, po czym szybko ruszyła w tym samym kierunku, bo świątynia miłości leżała przy drodze do wsi. Miała nadzieję, że zastanie Pierre'a Valery w zwykłym miejscu, niemal modliła się o to. Trochę się obawiała, że on także poszedł coś przekąsić i rozminie się z nim.

Modlitwy okazały się niepotrzebne. Znowu kiedy tylko zajrzała za szpaler drzew, ujrzała Pierre'a za sztalugami. Podbiegła do niego, on zaś podniósł się rad, że ją widzi.

— Musiałam przyjść, by... powiedzieć panu, jak stoją sprawy — powiedziała z lekką zadyszka.

— Miałem nadzieję, że tak właśnie pani robi — rzekł z prostotą malarz. — Co takiego się stało?

— Mój mistrz poszedł do gospody, aby zaprosić Paula Cezanne'a do nas na kolację.

— I z tego powodu nie będzie pani mogła przyjść mi pozować? — zapytał Pierre Valery.

— Niestety... tego właśnie się obawiam.

— Wygląda na to, że wszystko się sprzysięgło, żebym nie skończył tego obrazu.

— Przykro mi... strasznie mi przykro.

— To nie pani wina — rzekł Valery — lecz mimo to nie potrafię ukryć rozczarowania.

— Tak, rozumiem — zgodziła się Simonetta. — Mam nadzieję, że zdołamy sobie jakoś z tym poradzić, ale w tej chwili nie wiem, kiedy będę mogła przyjść.

— A swoją drogą — powiedział — czy miło spędziła pani czas u hrabiego wczoraj wieczorem?

Zanim odpowiedziała, zdążył wyczytać odpowiedź z jej twarzy.

— To było okropne! — wykrztusiła. Pierre Valery zamarł. Potem spytał ostro:

— Co się stało?

Simonetta pożałowała, że zwierza się całkiem nieznanemu mężczyźnie.

— To... nieważne — odparła. — Niech pan pokaże obraz.

— Proszę mi powiedzieć, co się stało. Chcę wiedzieć!

Simonetta potrząsnęła głową.

— Nie... lepiej o tym nie mówić.

— Nalegam! — powiedział Pierre Valery. — Proszę na mnie spojrzeć, Simonetto!

Nie poruszyła się, lecz wbiła spojrzenie w świątynię miłości. Zbielałe kamienie lśniły w słońcu jak perły.

— Domyślam się — rzekł cicho po chwili milczenia — że czymś panią obraził.

Simonette zdziwiła jego spostrzegawczość. Uznała jednak, że zbyt się poniży opowiadając Pierre'owi Valery o propozycji, jaką złożył jej hrabia.

— Nie chcę... nie chcę o tym mówić.

— Przecież ostrzegałem panią przed wilkami w owczej skórze!

— Teraz... po tym, co się stało... wiem, że miał pan rację — wydusiła.

— Co się stało?

Ton był stanowczy. Nie odpowiedziała, więc położył jej ręce na ramionach i obrócił ją twarzą do siebie.

— Proszę na mnie spojrzeć — powiedział — i wszystko wyjaśnić, bo to dla mnie ważne.

Muszę wiedzieć, co panią tak wstrząsnęło i przeraziło.

— Nie chcę... żeby pan się o tym dowiedział.

— Dotknął panią? — zapytał Pierre Valery. — Jeśli to zrobił, przysięgam, że go zabiję!

Jego reakcja tak zaskoczyła Simonette, że podniosła na malarza wzrok i potem trudno jej było spojrzeć w inną stronę.

— Czy panią dotknął?

— Nie... nie — odparła. — Ale zaproponował mi coś... grzesznego i podłego... Nie wiedziałam, że... mężczyźni są do tego zdolni.

Pierre Valery wyglądał na nieco zdziwionego. Wreszcie zapytał:

— Co takiego?

— Hrabia... zaproponował, że zabierze mnie... do Paryża... i kupi mi... klejnoty...! — Zaczęła się trochę płatać. Na koniec dodała: — Poprzedniego dnia... widział mnie... pierwszy raz w życiu!

— Co mu pani odpowiedziała? — chciał wiedzieć Valéry.

Jego ręce nadal spoczywały na ramionach dziewczyny. Czowała przez suknię dotyk jego silnych palców. Przyszło jej na myśl, że mógłby obronić ją przed hrabią i wszystkim innym, co ją napawa trwogą i przerażeniem. Minęło trochę czasu, zanim się odezwała:

— Nie musiałam... nic odpowiadać... mój... mistrz wrócił do salonu z siostrą hrabiego, która też... tam była.

Pierre Valéry milczał, lecz widać było, że jest wściekły,

— Nie wolno pani więcej się z nim spotykać ! — rzekł po chwili.

— Mam nadzieję, że już nigdy go nie zobaczę! — zapewniła go gorliwie Simonetta. — Mój mistrz również nie chce go więcej widzieć, więc postaram się zapomnieć, że hrabia... mnie obraził.

Zapadła cisza.

— Nie mogę tego pojąć — rzekł po chwili Pierre Valery — dlaczego pani rodzice, jeśli żyją, pozwolili pani studiować malarstwo, nie zapewniwszy pani przedtem właściwej opieki, albo dlaczego pozwolono pani jechać do Francji ze starszym człowiekiem, z którego winy ludzie nabierają o pani błędnego przekonania.

— Błędnego przekonania? — powtórzyła Simonetta. — Jak mam to rozumieć? Jakich błędnych przekonań nabierają, gdy przebywam w towarzystwie mojego mistrza?

Pierre Valery nie odpowiedział od razu. Chyba szukał odpowiednich słów.

— Chodzi mi o przekonanie, jakieżrodiło się w umyśle hrabiego. Sądził, że pani życie wygląda nieco inaczej niż w rzeczywistości.

Simonetta usiadła na trawie obok sztalug, jakby nagle zrobiło jej się słabo.

— Wciąż... nie rozumiem... co pan mówi. Pierre Valery uśmiechnął się i usiadł na stołku.

— Zmieńmy temat — zaproponował. — Jestem pewien, że osoba hrabiego nudzi panią tak samo jak mnie.

— Nigdy więcej nie chcę o nim wspominać! — rzekła z gniewem Simonetta.

— W takim razie porozmawiajmy o czymś naprawdę interesującym. Na przykład o świątyni, którą próbuję namalować, z pani postacią w środku.

Simonetta spojrzała na budowlę i jej twarz rozjaśnił uśmiech.

— To takie piękne — powiedziała. — Podczas lunchu wspomniałam mistrzowi, że w trakcie pobytu w Les Baux chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o trubadurach, ich pieśniach i wierszach.

— Niestety niewiele wierszy spisano, więc materiał, który możemy studiować, jest ubogi.

— To... wielka strata.

— Według mnie to niezwykle interesujące

— ciągnął Pierre Valéry — że prowansalscy trubadurzy w istocie wynaleźli miłość.

Simonetta rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

— Co pan ma na myśli?

— U zmięchu średniowiecza — odparł

— miłość nie odgrywała zbyt ważnej roli w społeczeństwie. W rzeczywistości za sprawą pieśni i wierszy prowansalskich trubadurów miłość zajęła należne jej we Francji miejsce.

— Jakież to fascynujące! — wykrzyknęła Simonetta. — Nie miałam o tym pojęcia!

— Francuzi zyskali miano niepodzielnych mistrzów *ars amandi* i samej miłości. Tego tytułu nikt dotąd ich nie pozbawił.

Simonetta klasnęła w ręce.

— Tego właśnie chciałam się dowiedzieć! Proszę opowiadać dalej.

Zerknęła jednak przez ramię zdjeta nagłą obawą, że ujrzy ojca, który wraca z gospody.

— Nie mogę teraz dłużej zostać — rzekła wstając z ziemi — ale wrócę, żeby usłyszeć więcej o trubadurach.

— Jeśli pani nie przyjdzie, będę bardzo przygnębiony — powiedział Pierre Valery. — Poza tym bez pani pomocy nigdy nie skończę obrazu.

— Proszę być dobrej myśli — poprosiła Simonetta. — Obiecuję, że zrobię, wszystko co w mojej mocy.

Zawahała się, po czym spytała:

— Jeśli przeniesie się pan w inne miejsce.... czy powiadomi mnie pan?

— Oczywiście.

— Przyjdę, gdy tylko będę mogła. Miała już odejść, kiedy nagle ją zatrzymał.

— Proszę chwilę zaczekać! Stała i podniosła na niego wzrok.

— Chcę prosić, aby dziś albo może jutro wieczorem towarzyszyła mi pani na spacerze.

Mógłbym pani pokazać Les Baux w świetle księżyca.

— Jakże mogę to zrobić? — spytała Simonetta, jakby spodziewała się, że artysta pomoże jej znaleźć odpowiedź.

Pierre Valéry myślał przez chwilę.

— Może po kolacji pani mistrz wróci z Cezanne'em do gospody, by dołączyć do innych malarzy. Jeśli zaś położy się spać, może pani wymknąć się z domu.

— To będzie trudne — powiedziała Simonetta. — Lecz naprawdę chcę zobaczyć skały w księżycowej poświacie.

— Będę więc na panią czekał, dopóki nie zrobi się zbyt późno lub nie upewnię się, że nie może pani opuścić domu.

— Dziękuję. Jest pan bardzo... bardzo.... uprzejmy — rzekła z uśmiechem.

Po chwili biegła już przez trawę. Zwinnie przeskoczyła przez żywopłot z lawendy i zniknęła za szpalerem drzew. Pierre Valery stał bez ruchu i patrzył w ślad za dziewczyną. Potem westchnął, usiadł za sztalugami i zabrał się do pracy.

Patrząc na Paula Cezanne'a, który siedział naprzeciw niej przy stole, Simonetta pomyślała, że jest to człowiek wyjątkowo interesujący. Łysiejące czoło nadawało mu bardzo inteligentny wygląd. Chociaż prawie całą twarz Cezanne'a zasłaniała wielka broda, jego oczy, ciemne i tajemnicze, kazały jej sądzić, że artysta żyje w swoim własnym świecie. Miał dziwny głos, ponieważ starannie wymawiał słowa z prowansalskim akcentem, co kontrastowało z jego nienagannymi manierami. Należał do tego rodzaju osób, które ojciec Simonetty zwykł nazywać „prawdziwymi ludźmi”. To co mówił, poglądy, którymi dzielił się z nimi przy stole, były zdaniem Simonetty tym, co pragnął usłyszeć jej ojciec od malarzy, ludzi żyjących w świecie zupełnie niepodobnym do jego świata. Poglądy Cezanne'a dotyczyły tak wielu spraw, że Simonetta słuchała go z wielką uwagą, wiedząc, że dzisiejszy wieczór na zawsze zapisze się

w jej pamięci i będzie go wspominać, kiedy wróci do Anglii, by podzielić los innych młodych arystokratek, od których świat nie oczekuje niczego poza chęcią korzystania z uroków życia. Z tego co mówił Cézanne, Simonetta wywnioskowała, że z pogardą odnosi się do społeczeństwa, a nawet do współczesnych mu artystów i że pod wieloma względami jest samotnikiem.

W miarę jak mijał wieczór, Simonetta nabierała coraz silniejszego przekonania, że Cézanne jest doprawdy dziwnym człowiekiem — niezwykłym i nieobliczalnym. Mogła jednak zrozumieć ojca, który bardzo sobie cenił przyjaźń artysty i był mile połączony, gdy Cézanne powiedział:

— Przybyłem tu jedynie po to, by się spotkać z tobą. Jutro wracam do Aix. Nie mogę znieść tych bałwanów z ich pretensjonalnymi uwagami na temat malarstwa!

Po kolacji Simonetta starała się nie myśleć o tym, że czeka na nią Pierre Valéry. Wkrótce Cézanne rzekł do księcia z niepokojem w głosie.

— Chyba wrócę już do gospody i zobaczę, czy moi tak zwani przyjaciele znaleźli mi jakieś miejsce do spania.

— Żałuję, że nie mogę zaproponować ci noclegu — powiedział z troską ksiączę — ale mamy tylko dwa pokoje.

— Poradzę sobie — odparł Cézanne. — Chodź, Calvert, przejdźmy się w świetle księży-

ca. Napawajmy się jego pięknem, zanim przyjdzie nam słuchać mędrkowania tych, którzy sądzą, że natura nie ma przed nimi tajemnic.

Księżę zaśmiał się i wstał z krzesła. Cezanne pożegnał się z Simonettą i wyszedł przed dom.

— Idź spać, moje dziecko. Wrócę późno. Postaram się ciebie nie obudzić.

— Baw się dobrze, papo.

Ojciec poszedł dogonić Paula Cezanne'a, który już kierował się w stronę wsi.

Simonetta odczekała chwilę, aż mężczyźni się oddalą. Mogła teraz skorzystać z okazji i pójść na spacer z Pierre'em Valery. Była pewna, że wróci do domu przed ojcem. Wzięła klucz od kuchennych drzwi na wypadek, gdyby ojciec jednak zjawił się pierwszy i zaryglował frontowe, których zwykli używać. Była dumna ze swej przebiegłości.

Pomyśleć tylko, że nigdy przedtem nie miałam tyle swobody — zdziwiła się. — Jednak radzę sobie zupełnie nieźle. Żałowała niemal, że nie może się pochwalić swym sprytem przed ojcem. Nikt jednak nie mógł dowiedzieć się o jej poczynaniach. Studiuję malarstwo — rzekła sobie w duchu. — Jestem samodzielna, więc to nic złego, że wyjdę popatrzeć na księżyc z innym malarzem. Myśl była iście buntownicza, Simonetta nie wyzbyła się jednak wyrzutów sumienia. Miała świadomość, że oszukuje ojca, że robi coś, co w jego oczach zasługiwałoby na naganę.

Ojciec nie potępiłby Pierre'a Valery jak hrabiego, gdyby wiedział, co mnie spotkało z jego strony — próbowała się przekonać.

Nagle przełękła się, że uprzedzenia wyniesione z domu zwyciężą nad fantazją, więc szybko wybiegła na drogę, jakby uciekała przed samą sobą. Gdy dobiegła do żywopłotu z lawendy, Pierre Valery już tam na nią czekał. Widocznie siedział ukryty w cieniu drzew.

Pojawił się tak nieoczekiwanie, że Simonetta wydała lekki okrzyk.

— Nie chciałem pani przestraszyć — wyjaśnił szybko — ale widziałem dwóch mężczyzn idących w stronę wsi, więc czekałem tutaj z nadzieją, że wystarczy pani odwagi, by spełnić obietnicę.

— Oto... przyszedłem — rzekła cicho Simonetta.

— Tak, i jestem pani za to bardzo wdzięczny. Chodźmy! Czekaj na nas wiele wrażeń, zanim będzie musiała pani wrócić do domu.

Ujął ją pod rękę, co Simonetcie wydało się zupełnie naturalne.

Przez chwilę szli drogą wiodącą do gospody, po czym zboczyli w małą ścieżkę, która wiała się w górę i przechodziła w kamienne schodki. Simonetta zorientowała się, że Pierre Valéry prowadzi ją do miejsca, gdzie niegdyś stał zamek.

Droga pod górę była ciężka, a w cieniu drzew rosnących po obu stronach ścieżki prawie nic nie było widać. Simonetta zgubiłaby się, gdyby artysta nie prowadził jej za rękę.

Wędrowali coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie weszli w światło księżyca. Pod nimi leżało Les Baux. Skały lśniące tajemniczym zimnym blaskiem przedstawiały sobą nieopisanie piękny widok. W górze wznosiły się ruiny zamku. Wywierały magiczny czar, który przenikał zapatrzonych w nie ludzi przyciągając ich jak magnes.

Simonetta poczuła się tak, jakby padł na nią urok i pod jego wpływem cofnęła się w przeszłość. W zamku mieszkali feudalni książęta o ognistym temperamencie i szybkich mieczach. Wywodzili się od Baltazara, jednego z Magów, na których herbach widniała Gwiazda Wschodu. Książętom towarzyszyły piękne kobiety w sukniach z długimi rękawami i perłami we włosach. Trubadurzy w spiczastych butach grali i śpiewali pieśni o wszechobecnej miłości. Simonetta nie była pewna, czy słyszy trubadurów czy Pierre'a Valery, który recytował ich wiersze i pieśni u stóp ruin zamku. Jedna z nich zaczynała się słowami:

Tak wiele o niej myślę i kocham tak prawdziwie, Że dniem i nocą drzę na jej wspomnienie.
Głos Pierre'a Valery, niski i głęboki, i nierzeczywisty jak sam księżyc zdawał się częścią mrocznych cieni.

Po długiej chwili milczenia, gdy w zupełnej ciszy słyszać było jedynie rechot żab dobiegający

ze stawów położonych w dolinie, artysta ciągnął dalej:

Skoro więc miłość łaskawa zechciała, Bym obraz twój w swym sercu nosił, Błagam, byś nie spłonęła w ogniu namiętności, Bo lękam się o ciebie Bardziej niż o siebie samego.

Spacerowali wśród ruin murów obronnych. Zatrzymali się, by spojrzeć na smaganą wiatrem równinę Awinionu. W dali jak srebrna żyłka błyszczała Camargue pokryta słonymi sadzawkami, które zostawiły na plaży gnuśne wody odpływu. Na horyzoncie wtapiał się w niebo postrzępiony górski profil Alpilles, srebrzystoniebieski w świetle księżyca.

Wreszcie Pierre delikatnie ujął dłoń Simonetty i zaczął sprowadzać dziewczynę na dół tą samą drogą, którą przyszli. Simonetta poczuła się tak, jakby zabierał ją z raju do świata, o którym chciała zapomnieć.

Dopiero gdy pojawił się przed nimi domek z czerwonym dachem, znowu była w stanie normalnie rozmawiać z artystą, chociaż dotąd porozumiewali się bez słów.

— Widziała więc pani Les Baux w świetle księżyca — rzekł miękko Pierre Valery.

— Nigdy... tego nie zapomnę.

— Z pewnością pani nie zapomni — odparł. — To prezent ode mnie, którego nic i nikt nie wydrze z pani serca.

— Skąd pan wie, że... tak właśnie czuję? — spytała.

— Bo sam czuję to samo. Spacer z panią w taką noc... Zawsze to będę pamiętał.

— Ja także.

Padało na nich blade światło księżyca. Simonetta podniosła wzrok na twarz mężczyzny, szukając słów, którymi mogłaby wyrazić swoje uczucia. Ich oczy spotkały się i miała wrażenie, że Pierre chce ją pocałować. Nagle uświadomiła sobie, że ona też tego pragnie i że to byłoby doskonałe zakończenie cudownego wieczoru, który razem spędzili.

Stali patrząc sobie w oczy. Simonetta czekała z zapartym tchem.

— Czas się pożegnać, a pani musi iść spać, Si-monetto — odezwał się Pierre Valery.

Powiedział to tak ostro i niespodziewanie, że jego głos rozwiął czar niezwyklej chwili i zerwał delikatną niewidzialną więź, która się między nimi wytworzyła. Simonetta poczuła się tak, jakby ktoś wylał jej na twarz szklanek zimnej wody. Miała ochotę krzyknąć, że zniszczył coś cennego, niezwyklego i cudownego, że to co zrobił, zakrawa nieomal na zbrodnię. Zakryła twarz rękami, jakby broniąc się przed ciosem, lecz Pierre ruszył w stronę domu i mogła jedynie pójść za nim.

— Pierre, proszę... niech pan na mnie poczeka — zawołała zdjęta obawą, że malarz zniknie, a ona nigdy więcej nie spędzi tak cudownego wieczoru.

Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu, choć on mówił tak do niej od dłuższego czasu. Pierre poczekał i Si-monetcie zdało się, że jego oczy zmieniły wyraz: pociemniały i stały się zagniewane. Dziewczyna poczuła się nagle bardzo młoda i zagubiona.

— Co... się stało? Co ja... zrobiłam? Dlaczego pan się... zmienił?

— Musi pani iść spać — powiedział. — O tej porze nie powinna pani pozostawać poza domem.

Znowu się od niej oddalił i Simonetta rozpaczliwie zdawała sobie pytanie, co go uraziło.

Weszła za nim przez otwartą bramę ogrodową i ruszyła małą ścieżką prowadzącą do frontowych drzwi. Pierre stanął przy drzwiach, jakby na nią czekał, by życzyć jej dobrej nocy... Wtedy zobaczyła, że drzwi są otwarte, chociaż zamknęła je przed wyjściem.

Przeraziła się, że ojciec już wrócił z zajazdu. Przeszło jej przez myśl, że będzie na nią bardzo, ale to bardzo zły i wzięła głęboki oddech, żeby dodać sobie odwagi.

Nagle ktoś, kto znajdował się w domu, wstał z krzesła i ruszył jej naprzeciw.

Był to hrabia! Przez chwilę Simonetta nie wierzyła własnym oczom. Hrabia szerzej uchylił drzwi, by wpuścić Simonettę do środka.

— Czekałem na ciebie—powiedział. — Gdzie się podziewałaś? A kto to taki?

Spojrzał wrogo na Pierre'a Valery, który odparł:

— Ja z kolei chciałbym wiedzieć, dlaczego tu pana zastaliśmy i jakie ma pan prawo czekać tutaj na mademoiselle?

— Nie wiem, kim pan jest — rzekł hrabia wściekłym głosem — ale chcę porozmawiać z mademoiselle, więc proszę pana o opuszczenie tego domu! Im szybciej, tym lepiej! Simonetta wydała okrzyk przerażenia.

— Nie... proszę... chcę, by ten pan został... nie mogę pana przyjąć, monsieur pod nieobecność mojego... mistrza.

Była tak zmieszana, że znowu nieomal powiedziała „ojca”, lecz w ostatniej chwili uniknęła pomyłki. Hrabia wrócił do saloniku, w którym paliło się kilka świec.

— Wejdz, Simonetto! — rzekł rozkazującym tonem. — Zatrzasnę drzwi przed nosem tego im-pertynenta, który przyprowadził cię do domu.

Simonetta rzuciła Pierre'owi Valéry błagalne spojrzenie. Artysta pierwszy wszedł do saloniku i stanął naprzeciw hrabiego. Był od niego wyższy, więc Simonetta z ulgą pomyślała, że Pierre ją obroni.

Powoli, bo z przestrachu uginały się pod nią kolana, weszła do pokoju. Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem jak koguty przed walką. Żaden

z nich się nie odzywał, każdy czekał na pierwsze posunięcie przeciwnika.

— Kazałem panu wyjść — powiedział hrabia.

— Nie mam zamiaru tego robić, dopóki pan nie wyjdzie.

— O tym ja sam zadecyduję — odparł hrabia. — Nie będzie mi rozkazywał jakiś chłystek, który nie ma żadnego prawa kręcić się przy mademoiselle podczas nieobecności jej nauczyciela.

— Proszę zwracać uwagę na słowa — rzekł Pierre Valery. — Wychodzi pan, monsieur le comte, czy mam pana stąd wyrzucić?

W oczach hrabiego pojawił się błysk wściekłości.

— Zapewne wiesz, kim jestem i że mam wpływy nie tylko tutaj, ale i w Paryżu. Albo stąd wyjdiesz, albo możesz być pewny, że już nigdy nie sprzedasz żadnego obrazu!

— Próbuje mnie pan szantażować — odparł Pierre Valery — co mnie bynajmniej nie dziwi. Potwierdził tylko moje przekonanie, że nie powinien pan pozostawać sam na sam z młodą kobietą!

— Ty gnido! Ty szcurze obmierzły! Nie będziesz mnie obrażał! — ryknął hrabia podnosząc rękę, by uderzyć Pierre'a.

Valéry tylko na to czekał. Złapał uniesioną rękę i obezwładniwszy przeciwnika, wypchnął go przez drzwi do ogrodu. Hrabia usiłował wyrwać rękę obrzucając Pierre'a stekiem wyzwisk. Był tak zdziwiony faktem, że doszło do rękoczynów, że

kiedy Valery go puścił, hrabia zatoczył się do tyłu i upadł. Nie przestając złorzeczyć, legł rozwścieczony na ścieżce. Gdy złapał oddech, drzwi zatrzasnęły się i usłyszał odgłos zasuwanego rygla. Pierre Valéry oparł się plecami o drzwi i spojrzał na Simonette. Stała ze złożonymi rękami, drżąc jeszcze po doznanym wstrząsie. Jej oczy błyszczały. Myślała jedynie o tym, że Pierre obronił ją przed hrabią i że nie będzie musiała zostać sam na sam z uwodzicielem. Kiedy otrząsnęła się ze strachu, wydała z siebie lekki okrzyk, który zamarł na jej wargach i rzuciła się w ramiona wybawcy. Poczowała, że Pierre ją obejmuje. Kiedy podniosła wzrok, by mu podziękować za ocalenie, wargi mężczyzny spoczęły na jej ustach.

ROZDZIAŁ 5

Przez chwilę Simonetta myślała jedynie o tym, że w silnych i opiekuńczych ramionach Pierre'a jest bezpieczna. Dotyk jego warg sprawił, że poczuła się tak, jakby podarował jej światło księżyca i urzekający widok, jaki roztaczał się u podnóża zamku. Pierre zabrał ją do krainy czarów, wymarzonej i wytęsknionej, dzięki niemu weszła do świata trubadurów i miłości, którą wysławiali we Francji. Poczowała się tak cudownie i wspaniale, jakby przestała być istotą ludzką, jakby jej dusza opuściła ciało. Nie była duchem, lecz od całej jej istoty bił blask i wznosiła się w górę, ponad świat, by stać się jedną z bogiń. Pierre mocniej objął ją ramionami i przyciągnął bliżej do siebie. Całował ją tak długo, aż zdało jej się, że jej dusza i serce stały się jego częścią. Było to uczucie doskonałe i upajające, a jednocześnie niezemskie, wprost niebiańskie. Zrozumiała, że to właśnie starali się oddać w swych obrazach impresjoniści — blask miłości, która pochodzi od Boga.

Nie wiedziała, jak długo Pierre ją całował; czas się zatrzymał, czuła tylko zachwyt i ekstazę. To mogło trwać kilka chwil albo całe wieki.

Pierre dawał miłość i brał ją w darze — miłość, która jest wieczna i nigdy nie umiera.

Dopiero gdy zdało jej się niemożliwością, by ktokolwiek mógł doznawać takiego cudu i nie stracić przy tym zmysłów, Pierre podniósł głowę.

— *Ma chźne* — powiedział dziwnym głosem.

— Nie chciałem tego zrobić.

Simonetta westchnęła rozczarowana, że odjął wargi od jej ust. Natychmiast jednak w nagłym przyplywie nieśmiałości ukryła twarz na jego ramieniu. Pierre trzymał ją mocno w objęciach i Simonetta miała wrażenie, że artysta walczy z samym sobą, choć nie rozumiała dlaczego.

— Źle postąpiłem — odezwał się w końcu.

— Powinienem był wyjechać tego dnia, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy.

Simonetta nie pojmowała jego słów.

— Nie wiedziałam... — rzekła wznosząc ku niemu oczy. — Nigdy bym nie pomyślała, że... pocałunek może być tak cudowny... tak nieziemski!

— A więc tak go odczułaś? — zapytał Pierre.

— Był jak... blask księżyca... jak... światło, które próbujesz uchwycić w obrazie... teraz rozumiem... czym ono jest dla ciebie — rzekła drżącym z emocji głosem.

— Nigdy przedtem nikt cię nie pocałował?

— spytał po chwili Pierre.

— Nie... oczywiście, że nie.

— Och, moje kochanie, tak właśnie myślałem.

Wtedy pocałował ją znowu; tym razem jego wargi były namiętne i zaborcze. Simonetta całkowicie mu uległa i czuła się tak, jakby jej ciało wtopiło się w ciało Pierre'a...

Po długiej chwili mężczyzna podniósł głowę i powiedział:

— Muszę cię opuścić. Twój mistrz nie powinien mnie tu zastać.

— A jeśli... hrabia znowu przyjdzie? — przeraziła się Simonetta.

Zdało jej się naraz, że wróciła na ziemię do przykrych spraw, które przestały istnieć, gdy pocałunek Pierre'a wzniósł ją ku gwiazdom. Znowu ogarnął ją lęk i drżąca przyłgnęła do artysty.

— Proszę... nie odchodź... boję się... hrabiego! — wydusiła.

— On cię nie skrzywdzi — zapewnił ją Pierre spokojnie. — Przyrzekam. Będę obserwował dom z ogrodu. Gdyby wrócił teraz twój mistrz, trzeba by mu zbyt wiele wyjaśniać. Poza tym wiem, że jesteś zmęczona.

Powiedział to z troską i zrozumieniem. Simonetta uprzytomniła sobie, że Pierre o nią dba i czuje się za nią odpowiedzialny. Westchnęła i wsparła głowę na jego ramieniu.

— Co by się stało... gdyby cię tu nie było? — wyszeptała.

— Ale jednak byłem — odrzekł. — Teraz idź już spać, najdroższa. Jutro, jeśli będziesz mogła, przyjdź do mnie i porozmawiamy rozsądnie o tym, co należy zrobić.

— Chcę... żebyś mnie... pocałował — szepnęła Simonetta.

— Ja też tego chcę — odparł Pierre — lecz przede wszystkim pragnę się o ciebie troszczyć. Dlatego muszę cię chronić nie tylko przed hrabią, ale także przed samym sobą. Simonetta poczuła na włosach jego wargi.

— Muszę cię opuścić, choć zrobię to z bólem serca — powiedział. — Śpij dobrze, moja najdroższa Wenus, i o nic się nie martw. To mówiąc puścił jej kibić. Simonetta jęknęła rozczarowana.

— Obiecuj, że nie odejdziesz... bo w razie gdyby...

— Jesteś całkowicie bezpieczna — przerwał jej. — Zapomnij o wszystkim. Myśl tylko o wspaniałościach, jakie widziałaś dziś wieczorem, i o cudzie twego pierwszego pocałunku. Stał przyglądając się jej w blasku świec.

— Jesteś taka piękna, a zarazem tak czysta i niewinna — rzekł jakby do siebie. Simonetta wahała się przez chwilę, ale ponieważ zrozumiała, co Pierre ma na myśli, posłała mu lekki uśmiech, odwróciła się i wspięła po wąskich schodach do sypialni. Gdy dotarła do drzwi, wiedziała, że Pierre jeszcze nie odszedł i czeka

na dole, aż ona wróci bezpiecznie do swego pokoju.

Chciała zbiec raz jeszcze na dół, przytulić się do niego i poprosić o ostatni pocałunek. Jednak z nadludzkim niemal wysiłkiem woli weszła do sypialni. Stała z uchem przy drzwiach i po chwili usłyszała, jak Pierre idzie do wyjścia, otwiera i zamyka drzwi. Okno sypialni nie wychodziło na ogród, więc nie mogła popatrzeć w ślad za nim. Mimo to wiedziała, że Pierre dotrzyma słowa: będzie obserwował dom, dopóki ojciec nie wróci z gospody. Nie musiała niczego się obawiać.

Simonetta powoli się rozebrała do snu. Jej ruchy były powolne, jakby znajdowała się w transie. Gdy już leżała w łóżku, pomyślała, że wszystko co ją tego dnia spotkało, było zbyt cudowne i wspaniałe, by mogło zdarzyć się na jawie.

Później dobiegł ją trzask frontowych drzwi: ojciec wrócił do domu.

Obudziła się z uczuciem, że śniła o czymś cudownym, co chciała złapać obiema rękami i zatrzymać na zawsze. Potem przypomniała sobie, co się wydarzyło poprzedniej nocy. Na wspomnienie pocałunku Pierre'a przeszedł ją dreszcz. Przez chwilę zdawało jej się, że znowu znalazła się w jego objęciach, a jego wargi spoczywają na jej ustach.

Kocham go! — uświadomiła sobie. Zastanawiała się, czy on czuje do niej to samo.

Później,

kiedy raz jeszcze przeżywała w myślach wszystkie zdarzenia poprzedniego dnia, zdziwiły ją niektóre słowa Pierre'a. Nie była jednak w stanie myśleć o niczym innym prócz rozkoszy, jaką jej dał Pierre. Dzięki artyście zrozumiała istotę światła będącego natchnieniem impresjonistów i to, że blask księżyca na skałach jest jego cząstką. Czy coś może być wspanialsze i cudowniejsze?

— zadała sobie pytanie.

Jedyną rzeczą, jaka w tej chwili miała dla niej znaczenie, było znaleźć się znów blisko Pierre'a, by raz jeszcze oładnęło nią to nieziemskie uczucie i by mogła na nowo upewnić się, że on ją kocha.

Ubrała się pospiesznie. Wydało jej się, że słońce świeci jaśniej niż dotąd, a kwiaty rozlewają niemal odurzającą woń. Pulsowało w niej nowe życie, miała ochotę tańczyć, śpiewać i wznieść się do samego nieba. Wyszła do ogrodu. Skały zdawały się lśnić nowym blaskiem. Simonetta pragnęła uchwycić ich magię i oddać ją na płótnie tak doskonale, by piękno przetrwało na zawsze.

Gdy o tym rozmyślała, podszedł do niej ojciec.

— Bardzo wczesnie dziś wstałaś, kochanie

— powiedział. — Będziemy mieli więcej czasu na malowanie.

Głos księcia wyrwał ją z krainy czarów.

— Miło spędziłeś wieczór, papo? — zapytała.

— O, tak — odparł książę. — Cezanne wygłosił coś na kształt wykładu dla młodych artystów,

którzy po raz pierwszy przybyli do Les Baux. To co mówił, było nadzwyczaj mądre i pouczające.

— Zaciekawiasz mnie, papo.

— Później ci wszystko opowiem — rzekł książę. — Teraz chciałbym zjeść śniadanie. Mam nadzieję, że Maria nie każe nam długo czekać.

Gospośnia wychodziła właśnie z kuchni. Z uśmiechem postawiła na stole mały koszyk z gorącymi *croissants*. Znalazła się też spora osełka złotożółtego masła, gorąca kawa i nieco wybornego prowansalskiego miodu, który według Simonetty miał nie spotykany gdzie indziej smak i zapach.

W milczeniu spożywali posiłek.

— Skończyłem obraz — rzekł książę — i trochę dalej znalazłem już nowe miejsce.

Roztacza się stamtąd widok skał, który chciałbym uwiecznić.

Simonetta uprzytomniła sobie, że im bardziej odejdą od domu, tym bardziej ona oddali się od Pierre'a.

— Nie skończyłam jeszcze swojego obrazu, papo.

— Bardzo długo nad nim pracujesz — zauważył książę. — Pokaż mi, co dotychczas zrobiłaś.

Simonetta z ociąganiem wręczyła mu płótno. Obawiała się, że ojciec uzna, iż zmarnowała czas. Książę obejrzał obraz i uśmiechnął się.

— Widzę, że próbujesz naśladować Moneta — powiedział. — Nie ma w tym nic złego, jest on

artystą, którego darzę wielkim podziwem, jednak proponuję, żebyś zaufała własnej intuicji i własnym oczom i malowała tak, jak sama czujesz, nie zaś tak, jak ci się wydaje, że powinnaś malować. W ten sposób więcej osiągniesz.

— Jesteś strasznie bystry, papo — zaśmiała się Simonetta. — Na pewno masz rację. Zrobię, jak radzisz. I tak zmarnowałam to płótno.

Wzięła od niego obraz, odstawiła do kąta i wybrała jedno z nowych płócien, które przywieźli ze sobą.

— Dobrą stroną malowania obrazów jest to — zauważyła — że zawsze można zacząć od początku.

— Czego niestety nie można powiedzieć o życiu — rzekł oschle książę.

Simonetta pomyślała, że nie chciałyby zapomnieć o tym, co zdarzyło się w nocy ani zacząć na nowo przyjaźni, jeśli to właściwe określenie, z Pierre'em. To, co z nim przeżyła, było tak piękne i cudowne, że nie chciałyby stracić ani jednej chwili.

Natomiast wszystko co wiązało się z hrabią, pragnęła w jakiś sposób wymazać z pamięci jednym posunięciem pędzla. Żałowała, że nie może zapomnieć, iż kiedykolwiek go poznała. Sama myśl o tym człowieku przejmowała ją odrazą. Miała nadzieję, że po tym co zdarzyło się w nocy, nie będzie chciał już jej widywać i przestanie ją prześladować. Tak byłoby najlepiej. Niestety drę-

czyło ją przeczucie, że ponieważ za sprawą Pierre'a wyszedł na głupca, będzie szukał zemsty.

A jeśli zaszkodzi Pierre'owi? — zmartwiła się. — Nie bez kozery powiedział, że Pierre nie sprzeda już nigdy żadnego obrazu.

Zastanawiała się, co może zrobić, by do tego nie dopuścić. Ogarnął ją lęk. Tymczasem po przebudzeniu była taka szczęśliwa i pamiętała jedynie cudowne pocałunki Pierre'a. Teraz jej myśli nawiedził hrabia, jak ciemna chmura, która zasłania słońce.

Co robić? — zadała sobie pytanie, zastanawiając się, czy nie będzie lepiej powiedzieć wszystkiego ojcu. Ten jednak nie tylko by się przeraził, ale kazałby jej natychmiast spakować kufer i może nawet nie miałyby czasu pożegnać się z Pierre'em. Nie śmiem mu o tym powiedzieć — pomyślała.

Książę zbierał właśnie sztalugi i farby.

— Chodź — rzekł do córki. — Czeka nas dość długi spacer do miejsca, gdzie chcę zacząć nowy obraz. Kiedy wspomniałem o nim Cezanne'owi, odparł, że sam zawsze pragnął namalować ten widok.

Simonetta wiedziała, że w żaden sposób nie zdoła nakłonić ojca do zmiany planów, więc wzięwszy farby i nowe płótno, podążyła za ojcem do ogrodu.

Przyszli do miejsca, gdzie po jednej stronie skały wznosiły się stromo ku niebu, podczas gdy po

drugiej wił się wśród kwitnących krzewów mały strumyk. Wszystko razem składało się na pejzaż zdolny zachwycić każdego artystę.

Księżciu zajęło trochę czasu odpowiednie ustawienie sztalug. Kiedy już z tym się uporał, Simonetta wiedząc, że ojciec nie lubi, kiedy zakłóca mu się spokój, odeszła kilka metrów dalej. Gdy tylko zaczęła malować, zdała sobie sprawę, że nie potrafi myśleć o niczym innym prócz Pierre'a, o jego silnych ramionach i dotyku jego warg. Dzięki niemu doznała ekstazy, jakiej jeszcze nie przeżywała żadna istota na ziemi.

Muszę go zobaczyć — postanowiła. — Muszę się z nim spotkać i porozmawiać. Raz jeszcze na pomoc przyszło jej szczęśliwe zrządzenie losu.

Kiedy wrócili do domu na lunch, Maria, która wniosła pyszne dania, powiedziała:

— Dziś po południu będzie bardzo gorąco. Słońce nigdy jeszcze tak mocno nie grzało o tej porze roku. Radzę m'nselle zostać po lunchu w domu i poczekać, aż zrobi się chłodniej.

— Niezły pomysł — zgodził się książe. — Połóż się i odpocznij, a później do mnie dołączysz, dobrze?

Simonetcie z radości mocniej zabiło serce.

— Papo, jesteś pewny, że nie będziesz czuł się beze mnie samotny?

— Chociaż nie jestem zbyt rozmowny, gdy maluję — powiedział z uśmiechem — lubię mieć

cię przy sobie, wiedzieć, że jesteś w pobliżu. Nie chcę jednak, żebyś się przemęczała. — Spojrzał na córkę i dodał: — Wyglądasz dobrze, ale malowanie bywa wyczerpujące, a ty ciężko pracujesz od chwili naszego przyjazdu.

— Zrobię więc, jak radzisz — rzekła Simonet-ta — Poczekam, aż się ochłodzi.

— Rozsądne dziecko — pochwalił ją książę. Nie siedział zbyt długo przy kawie, bo chciał jak najszybciej wrócić do pracy.

Simonetta poszła do swego pokoju i leżała na łóżku, dopóki nie usłyszała, że Maria skończyła zmywać naczynia i zamknęła kuchenne drzwi. Wtedy odczekawszy chwilę, aby gosposia zdążyła oddalić się w stronę wsi, dziewczyna zerwała się z łóżka i pobiegła do świątyni miłości.

Pierre tam był, tak jak się spodziewała.

Gdy biegła do niego po ukwieconej trawie, czuła, że serce trzepocze się w jej piersi jak ptak. Nigdy w życiu nie była tak podniecona i podekscytowana: znowu mogła zobaczyć ukochanego. Wyciągnęła ku niemu ręce.

— Och... Pierre...!

Mężczyzna stał patrząc na Simonettę. Potem ujął jej dłonie i pocałował, najpierw jedną, potem drugą.

— Wczorajsza noc zdarzyła się naprawdę... naprawdę... powiedz? — zawołała Simonetta.

— Dla mnie tak — odparł Pierre — ale muszę z tobą porozmawiać.

— Wiem, wczoraj mi to powiedziałaś. Mogłam przyjść, bo mistrz powiedział, że jest zbyt gorąco i powinnam się położyć.

— Jakakolwiek stoi za tym przyczyna, jestem wdzięczny, że przysłałaś.

— To, że znowu cię widzę, jest tak cudowne, że nie potrafię tego wyrazić... przy tobie czuję się... bezpieczna.

Pierre mocniej ścisnął jej dłonie.

— Usiądź, *ma chérie*, muszę ci coś powiedzieć, a to nie będzie łatwe.

Ton jego głosu sprawił, że Simonetta rzuciła mu nieco ostre spojrzenie.

— Chodzi o... hrabiego? Robi ci... jakieś trudności?

— Nie, nie! Zapomnij o nim! — odparł Pierre.

— Nie może mi zaszkodzić.

— Może... i tym się martwię — rzekła Simonetta. — Chce ci utrudnić sprzedaż obrazów!

— Powiedziałem już, że hrabia mnie nie obchodzi, o ile ciebie nie przeraża.

— On mnie... naprawdę przeraża — westchnęła Simonetta — lecz ja mogę wrócić do Anglii... podczas gdy ty zostaniesz w Paryżu.

Spojrzała na niego zmartwionym wzrokiem.

— Ty o mnie myślisz! — zakrzyknął Pierre.

— Czy może być coś cudowniejszego?

— Oczywiście, że o tobie myślę — odparła.

— Wyrzuciłeś go z domu, żeby mnie obronić.

Czegoś takiego nigdy ci nie wybaczy. Jest mściwy i podły! Czułam to od samego początku.

— Balem się, że dojdiesz do przekonania, że wielu mężczyzn zachowuje się względem ciebie „podle” — rzekł Pierre z westchnieniem.

— Dlaczego? — zapytała Simonetta. Pierre uśmiechnął się.

— Dlatego, moje kochanie, że jesteś śliczna. Kiedy zaś mężczyźni pożądamy pięknej kobiety, tracą głowę i zachowują się jak zwierzęta.

— Tak właśnie hrabia... zachowywał się wczoraj w nocy — rzekła cicho Simonetta. — Jest jednak tak, jak powiedziałam: ja mogę stąd wyjechać... a ty nie.

— Nie martw się o mnie — powiedział Pierre — chociaż przyznaję, że jestem ci głęboko wdzięczny za troskę. Musimy porozmawiać o tym, co się stanie z nami.

— A co się stanie? — zapytała Simonetta. Zapadła cisza. Po chwili Pierre zaczął mówić dziwnym głosem:

— Staralem się w tobie nie zakochać. Kiedy po raz pierwszy ujrzałem cię w świątyni, bijącą blaskiem, który mnie urzekł i oczarował, wiedziałem, że nie zdołam uciec od miłości.

— Naprawdę... tak było?

— Przysięgam, że to prawda.

— A kiedy zbliżyłeś się do mnie — rzekła powoli Simonetta — poczułam, że jesteś inny od

wszystkich mężczyzn, których dotąd spotkałam, i że mogę ci zaufać.

Pierre słysząc to nieomal jęknął.

— Powinienem być być godny twego zaufania, a tymczasem cię zawiodłem.

Simonetta rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie.

— Ależ... jak to? — spytała. — Ocaliłeś mnie przed hrabią... obroniłeś mnie i... — Nagle zawstydzona się i spuściła wzrok. — Chyba... nie potrafię... tego powiedzieć... — dodała po chwili.

Pierre usiadł obok niej na trawie. Ujął dłoń dziewczyny i ścisnąwszy ją mocno w swojej,, powiedział:

— Dokończ to, co chciałaś powiedzieć. Dotykał ją i znów poczuła prąd płynący z jego palców.

Podniosła wzrok na Pierre'a i zaczęła drżeć. Na nowo zatopiła się w ekstazie, jakiej zaznała w nocy w jego ramionach. W jej sercu wezbrała miłość i jak promień słońca utorowała sobie drogę do ust. Simonetta spojrzała Pierre'owi prosto w oczy. Nieśmiałość minęła, a jej miejsce zajęło uniesienie.

— Dałeś mi... miłość! — wyszeptała.

— Och, moje kochanie — rzekł Pierre głębokim głosem. — Jeśli ja ci dałem miłość, ty podarowałaś mi boską doskonałość, światło, którego zawsze szukałem tracąc już nadzieję, że je znajdę.

Podniósł jej rękę do ust i ucałował. Simonet-ta zacisnęła palce na dłoni Pierre'a czując, że nie może go opuścić.

— Wiem, że łączy nas miłość, którą trubadurzy wysławiali w swoich pieśniach, miłość... duchowa i... idealna — powiedziała wreszcie Simo-netta.

— Taka bowiem ty jesteś — rzekł Pierre — i dlatego muszę odejść.

Dziewczyna spojrzała na niego, jakby nie zrozumiała tego, co powiedział. Potem wydała lekki okrzyk.

— Musisz odejść?! — zawołała. — Nie możesz miie opuścić! Proszę... proszę... nie możesz tak mnie zostawić...! Jeśli hrabia...

— Upewnię się, że hrabia nie będzie cię więcej prześladował. Moja najdroższa mała Wenus, nie chcę cię zranić ani zepsuć, dlatego muszę odejść.

— Nic... nie.... rozumiem.

Spojrzał jej w oczy, zmieszane i przerażone jak u dziecka.

— Najdroższa, stanowisz nie tylko ucieleśnienie wszelkich pokus, lecz ponadto jesteś jak ja pełna ideałów. Nie chcę cię zepsuć.

— Ależ... dlaczego miałbyś mnie zepsuć? Czy... chcesz przez to powiedzieć, że... nasza miłość jest... czymś złym?

Zanim zdążył dać jej odpowiedź, zapytała szybko:

— Chyba nie jesteś... żonaty jak hrabia? Pierre potrząsnął głową.

— Nie, nie jestem żonaty.

Simonetta zamilkła. Uświadomiła sobie nagle, że niczego bardziej nie pragnie niż zostać żoną Pierre'a. Teraz rozumiała, czym jest prawdziwa miłość. Doznała olśnienia.

Pokochała Pierre'a tak, jak ojciec chciał, by kochała człowieka, który zostanie jej mężem.

Kiedy poznała prawdę, uprzytomniła sobie, że ponieważ jest tym, kim jest, rodzina w żadnym razie nie pozwoli jej poślubić biednego malarza. Od wczorajszego wieczoru aż do tej chwili żyła w krainie czarów i nawet rano, gdy się przebudziła, nie zastanawiała się nad konsekwencjami swego szczęścia i miłości, którą wzbudził w niej Pierre. Dlatego nie myślała o małżeństwie i własnej przyszłości. Teraz była już pewna, że nigdy nie zazna pełni szczęścia, jeśli nie będzie z Pierre'em. Jednak małżeństwo z artystą obce było wychowaniu, które wyniosła z domu, i całemu życiu, jakie wiodła do czasu przyjazdu do Les Baux. Stąd przez chwilę nie potrafiła oswoić się z tą myślą.

Simonetta milczała, milczał też Pierre. Utkwił wzrok w świątyni miłości, jakby miał nadzieję, że budowla w jakiś sposób go natchnie i znajdzie rozwiązanie dręczącego go problemu.

Cisza, jaka między nimi zaległa, stała się nie do wytrzymania. Simonetta ściskając dłoń Pierre'a, jakby była liną ratunkową pośród rozszalałego morza, powiedziała:

— Czy musimy... już teraz... podjąć decyzje? Wczoraj w nocy byłam bardzo szczęśliwa... nie istniały żadne... kłopoty i... zmartwienia.

— Martwię się o ciebie — odparł Pierre. — Przysiągłem sobie, że nie powiem ci, co do ciebie czuję, i że nawet cię nie dotknę. Lecz to co się stało, wytrąciło mnie z równowagi. Wstydzę się, że nie potrafiłem nad sobą zapanować.

Simonetta wbiła w niego zdziwione spojrzenie.

— Chyba... nie żałujesz, że... mnie pocałowałaś? — spytała bardzo cicho.

W jej oczach odbił się ból, jakby nie mogła znieść tego, co nagle przyszło jej na myśl.

— Nie, oczywiście że nie — odparł szybko Pierre. — Jeśli dla ciebie było to cudowne przeżycie, wierz mi, że dla mnie było jeszcze cudowniejsze.

— To było tak wspaniałe... tak niezmiernie... Czułam się, jakbym się wznosiła do nieba i przestała być człowiekiem, jakbym... została jednym z bogów Les Baux z czasów rzymskich.

— Ja też tak się poczułem — rzekł Pierre.

— Czy naprawdę nie mówisz tego jedynie po to, by... sprawić mi przyjemność?

— Nie potrafię wyrazić tego, co czułem — odparł artysta — i nawet nie wolno mi tego robić.

— Dlaczego? Powiedz, proszę.

— Dlatego że to oznacza staczanie się w niebezpieczną otchłań, z której muszę cię ratować nawet przed samym sobą.

Głos Pierre'a był dla uszu Simonetty jak muzyka, jak bicie serca i blask słońca.

— Nie mogę pojąć... dlaczego nie chcesz o tym mówić — wyszeptała.

Pierre podniósł na nią wzrok i wydał ciche westchnienie.

— Och, moja najdroższa Wenus, jesteś słodka, niewinna i czysta. Jak to możliwe, że spotkałem kogoś takiego, by pozbawić go marzeń, wiedząc, iż nie jest w mojej mocy go uszczęśliwić.

Simonetcie przyszło na myśl, że i ona jest bezradna wobec tego, co przyniesie im los, lecz nie może wyjaśnić Pierre'owi dlaczego. Czy mogła pójść do ojca i powiedzieć, że Pierre kocha ją, a ona jego? Książkę natychmiast przestałby myśleć jak impresjonista i stałby się na powrót arystokratą.

Musiała też przyznać przed samą sobą, że zwodziła nie tylko ojca, lecz także Pierre'a. Uprzytomniła sobie, jaki żal czułiby do niej obaj mężczyźni i jak niewiele miałyby na swoje usprawiedliwienie. Gorączkowo zastanawiała się, co robić, lecz znajdowała się w stanie zupełnego oszołomienia. Wszystko stało się tak szybko, że nie potrafiła jasno myśleć. Mogła jedynie starać się nie wypuścić z rąk swego szczęścia.

— Pierre, proszę cię... proszę — błagała — czy nie moglibyśmy... tylko dziś... być szczęśliwi i niczego nie postanawiać? Po prostu chcę być z tobą. Proszę... powiedz, że ty także chcesz być ze mną.

— Wiesz, że tego pragnę — odparł szorstko Pierre — ale myślę o twojej przyszłości.

— Ja też — odrzekła Simonetta — i dlatego chcę... muszę... jeszcze przez chwilę na ciebie popatrzeć... proszę.

— Czy to nam ułatwi rozstanie?

Simonetta chciała już spytać, dlaczego muszą się rozstać, lecz słowa uwięzły jej w gardle.

Oczywiście nie mamy innego wyjścia — pomyślała. — Lepiej więc będzie, jeśli nie wyjawię mu, kim jestem. Wrócę z papą do Anglii i postaram się o nim zapomnieć.

Wiedziała jednak, że nigdy nie wymaże z pamięci Pierre'a. Kochała go i choć każdy uznałby, że jest jeszcze młoda i wyleczy się z pierwszej miłości, Simonetta była pewna, że tak się nigdy nie stanie. Coś jej mówiło, że miłość, jaką ona czuje do Pierre'a, zdarza się tylko raz w życiu. Niezależnie od tego czy Pierre zdaje sobie z tego sprawę, ona do śmierci pozostanie jego. Naraz zdało jej się, że takie rozmyślenia ją przerastają, są zbyt przerażające. W tej chwili liczyło się tylko to, że Pierre jest blisko i może go dotykać. Oby nigdy nie nadeszło jutro!

— Proszę cię, Pierre... proszę — rzekła błagalnie — bądźmy... szczęśliwi.

Mężczyzna oderwał zamyślony wzrok od świątyni miłości i spojrzał na Simonettę.

— Wiesz, że cię pragnę.

— A więc... zrób to, o co proszę... kocham cię!

Za sprawą słodyczy w jej głosie Pierre złamał swoje postanowienia. Otoczył Simonette ramionami i położył na trawie. Zaczął ją całować zaborczo, i namiętnie, zupełnie inaczej niż zeszłej nocy. Nie był teraz bogiem, lecz mężczyzną, a ona kobietą, której pragnął i która należała do niego.

Simonette ogarnęło cudowne uczucie radości i rozkoszy. Miała świadomość, że tym razem pocałunek jest inny, lecz to nie zmąciło uczucia błogości. Gorące wargi Pierre'a rozpały w niej delikatny ognik namiętności. Nigdy jeszcze nie doznała czegoś podobnego ani nawet o czymś takim nie śniła. Ekstaza, jakiej doświadczyła, była emocją dziwną i podniecającą

Całowali się do utraty tchu. Wreszcie Pierre uniósł głowę i spojrzał na dziewczynę. Leżała z błyszczącymi oczami i lekko rozchylonymi wargami. Z trudem łapała oddech. Była podniecona, co dodawało jej uroku. Pierre pragnął pocałować ją raz jeszcze, lecz Simonetta, nieco zawstydzona jego rozognionym spojrzeniem, zasłoniła twarz rękami, jakby chciała przed nim uciec. Pierre natychmiast ją puścił.

— Nie powinienem cię przerażać — rzekł jakby do siebie.

— Wcale mnie... nie przeraziłeś — powiedziała Simonetta głosem, który zdawał się dochodzić z oddali. — Lecz kiedy całujesz mnie w taki sposób... czuję się bardzo... dziwnie.

— Dziwnie? — powtórzył Pierre.

— Nie potrafię tego wyjaśnić... to jest cudowne... czuję się wtedy tak, jakby moje ciało przenikał prąd.

Na twarzy Pierre'a pojawił się uśmiech.

— Jesteś bardzo młoda — westchnął. — Nie wolno mi o tym zapominać.

— Sądzisz, że z czasem przestanę... tak to odczuwać?

Pierre uśmiechnął się szerzej.

— Ależ nie, a nawet wprost przeciwnie. Nie powinienem jednak dłużej ci tego tłumaczyć ani doprowadzać cię do takiego stanu.

Simonetta podniosła na niego wzrok.

— Dlaczego? To takie cudowne... i jestem pewna, że stanowi to cząstkę miłości, która króluje... w świątyni.

Utkwiła spojrzenie w jego twarzy i spytała:

— Nie ma w tym nic złego... że tak właśnie się czuję, prawda?

— Nie, kochana, nie ma w tym nic złego. Pierre, który leżał obok niej, usiadł teraz na trawie.

— Gdzie powinnaś być dziś po południu? — zapytał.

Simonetta z wysiłkiem powróciła do rzeczywistości.

— Już ci mówiłam: miałam się położyć i odpocząć, by później dołączyć do mistrza. Nie muszę się jednak spieszyć.

— Chcesz, żebym znowu cię pocałował?

Jej twarz nagle się rozpromieniła.

— Wiesz, że chcę!

— Och, moja słodka, trudno mi będzie się z tobą rozstać — powiedział.

Znowu ją pocałował, tym razem subtelniej, jakby dotykał kwiat i bał się, że uszkodzi jego delikatne płatki. Potem położył się obok dziewczyny i trzymając ją w ramionach, przytulił twarz do jej policzka.

— Spójrz na światło na skałach — powiedział. — Jego właśnie szukamy i w pewnym sensie podarowaliśmy je sobie nawzajem.

— Jakże można je uchwycić na płótnie lub w jakikolwiek inny sposób? — rzekła wzruszona Simonetta. — Wiemy jedynie, że to, czego szukamy... istnieje... że jest tutaj... i wreszcie znajdujemy to we własnym wnętrzu.

Pierre mocniej ścisnął ją w ramionach, dając jej do zrozumienia, że wie, co próbowała mu powiedzieć.

Simonetta uświadomiła sobie, że na całym świecie nie znajdzie drugiego takiego mężczyzny jak Pierre. Nikt inny nie myśli tak jak on i nie potrafi nauczyć jej tylu cudownych rzeczy. Jeśli utraci Pierre'a, wraz z nim utraci jakąś część siebie.

Pograży się w mroku, gdzie nigdy nie dociera żaden promień słońca.

— Myślisz o czymś smutnym — rzekł nagle artysta.

— Skąd... wiesz?

— Wydaje mi się, że wiem o tobie wszystko — odparł. — Znam twoje myśli i uczucia. Kiedy się do mnie zbliżasz, czuję niewidzialne prądy, które emanują z ciebie jak światło. Ciało Simonetty przeszedł dreszcz.

— Dlaczego zadrżałaś? — zapytał Pierre.

— Bo kiedy po raz pierwszy dotknęłam twojej dłoni, czułam fluidy, które promieniowały z twoich palców. Chyba już wtedy wiedziałam, że jesteś kimś... wyjątkowym i że nikt inny... nie jest do ciebie podobny.

Chciała dodać: Nigdy nie znajdę nikogo podobnego do ciebie, chciała powiedzieć mu, jak bardzo pragnie z nim zostać, być blisko niego. Nagle zdała sobie sprawę, że wprawdzie ona sama ma świadomość, że nie może go poślubić, lecz Pierre nawet nie poprosił jej o rękę. Zaczęła się nad tym zastanawiać i w końcu domyśliła się przyczyny jego postępowania.

Jako malarz Pierre był zbyt ubogi, by utrzymać żonę, a ponieważ ją kochał, nie chciał, by dzieliła z nim nędzne życie artysty, którego nikt nie docenia. Ojciec opowiedział jej o ubóstwie, w jakim żyli impresjoniści, potrafiła więc zrozumieć, że Pierre jest zbyt szlachetny, by zgotować taki los ukochanej kobiecie.

Nagle przyszło jej do głowy, że skoro bierze ją za studentkę sztuk pięknych, powinien sądzić, że jej dotychczasowe życie niewiele różniło się od tego, jakie on może jej zaoferować.

Ta myśl ją zupełnie poraziła, lecz nie mogła poprosić Pierre'a o jakiegokolwiek wyjaśnienia, ponieważ sama nie powiedziała mu prawdy. Nie tylko Pierre miał swoje sekrety, ona miała je także.

W tej jednak chwili Simonetta nie wyobrażała sobie, że może być coś cudowniej szego, niż leżeć w ramionach Pierre'a, patrzeć na błękitne niebo nad głową i czuć pod sobą miękką trawę. Z miejsca, w którym leżeli, widać było jedynie szczyty nagich skał bielejące w blasku słońca. Zdawało jej się, że znalazła się w świecie swych marzeń; świecie wolności, w którym nie czyha na nią niegodziwość i zło; istnieje tylko Pierre i miłość.

— Teraz myślisz o mnie — rzekł miękko artysta.

— Jakże mogłabym myśleć o czymś innym, kiedy jestem tak szczęśliwa? — odparła Simonetta. — Lecz to trochę... przerażające, że potrafisz czytać w moich myślach.

— Nie tyle czytam w twoich myślach, co w uczuciach — powiedział Pierre. — Promieniują w moją stronę, a kiedy łączą się z moimi, stajemy się jedną osobą. Och, najdroższa moja, jakże mogę pozwolić ci odejść?

Powiedział to głosem pełnym bólu. Simonetta obróciła się na bok, aby znaleźć się bliżej niego i objąwszy go ramionami, rzekła:

— Kocham cię... kocham... cokolwiek się stanie, zawsze będę pamiętać, że dałeś mi coś wyjątk-

kowo cennego... coś świętego... Będę Bogu dziękować na kolanach za to, że... ciebie spotkałam.

Pierre milczał i nie poruszał się. Simonetta uniosła nieco głowę i spojrzała na niego.

Mężczyzna zwrócił głowę ku niebu i zamknął oczy. Mimo to dostrzegła cierpienie, które malowało się na jego twarzy i nadawało jej wyraz, jakiego jeszcze u Pierre'a nie spotkała. Nie miała pojęcia, dlaczego ukochany tak się nagle zmienił i co go przygnębiło. Wiedziała jedynie, że w tej chwili go kocha, i oddałaby życie, żeby oszczędzić mu cierpienia.

ROZDZIAŁ 6

Pierre milczał i zdawał się nieobecny duchem. Simonetta przelekła się.

— Pierre! — krzyknęła głośno. — Pierre! Otworzył oczy i przez chwilę leżał patrząc na dziewczynę. Potem usiadł i przyciągnął ją bliżej do siebie. Utkwił wzrok w widocznej spoza trawy świątyni miłości.

— Posłuchaj mnie, kochana — zaczął cicho. — Muszę się z tobą pożegnać i wyjechać z Les Baux.

— Wyjechać... dlaczego? — zaprotestowała Simonetta. — Czy... to... z mojej winy?

— Nie, w żadnym razie — odparł Pierre — lecz nie możemy tego dalej ciągnąć.

— Nie zniosę... twojego... wyjazdu.

— Muszę to zrobić i kiedyś zrozumiesz dlaczego.

— Chcę to zrozumieć teraz... Jak możemy puścić w niepamięć bezcenne chwile, które... spędziliśmy razem?

Jej głos zadrżał, gdy powiedziała „bezczenne” i poczuła, że Pierre mocniej ją objął.

— W życiu każdego z nas — powiedział Pierre z powagą w głosie — zdarzają się chwile, które są wspaniałe, piękne i jak powiedziałaś, bezczenne. — Jego głos stał się głębszy. — Jedną z nich jest ta, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałem. Stałaś w wejściu do świątyni i nie byłem pewny, czy jesteś istotą ludzką czy zjawą z przeszłości.

Simonetta zaś pomyślała, że na zawsze zapamięta moment, gdy Pierre po raz pierwszy do niej podchodził, i ciepło, które promieniowało z jego palców, gdy dotknął jej ręki. Nic jednak nie powiedziała.

— Albo też chwila gdy siedzieliśmy w świetle księżyca u stóp zamku i wydało mi się, że oboje przenieśliśmy się w przeszłość — ciągnął Pierre.

— Ja miałam takie samo wrażenie — wyjąkała Simonetta. — Wyobraziłam sobie zamek z przeszłości... i słyszałam trubadurów... śpiewających pieśni o miłości.

— Później — mówił dalej Pierre, jakby jej nie słyszał — choć nie chciałem cię dotknąć, pocałowałem cię i wiedziałem, że nie ma na ziemi szczęśliwszego ode mnie człowieka, bo niebo się przede mną otworzyło.

Simonetta przytuliła twarz do jego policzka.

— To było takie cudowne — wyszeptała. — Od tamtej chwili... należę do ciebie... i nie potra-

fię sobie wyobrazić, że mógłby mnie pocałować... inny mężczyzna. Pierre zeszywniał.

— Nie wolno ci tak mówić — powiedział.

— Dlaczego, skoro to prawda?

— Bo nie możesz mi oddać swego serca. Będę się modlił, byś znalazła szczęście z innym człowiekiem.

— Jakże to zrobić, skoro jestem szczęśliwa tylko... z tobą?

— Nie wiem, co ci odpowiedzieć — odparł Pierre. — Ale to jeszcze jeden powód, bym odszedł.

Simonetta chciała zaprotestować. Wiedziała jednak, że nie może go zatrzymać. Jeśli Pierre musi odejść, widocznie jest im pisane się rozstać. Zastanawiała się, czy zaproponować, że wyjedzie z nim. Nie musi wyjawiać mu, kim jest. Niech zawsze myśli, że jest studentką akademii, wolną i niezależną.

Była jednak na tyle inteligentna, by uświadomić sobie bezsens tego pomysłu. Zniknięcie lady Simonetty Terrington-Trench wywołałoby wielkie zamieszanie. Wkrótce znalazłaby ją policja albo ojciec. Wtedy Pierre mógłby zostać oskarżony o uprowadzenie jej.

— Nie wolno mi... go skrzywdzić — powiedziała do siebie. — Kocham go. Dostyc się już przeze mnie nacierpi, jeśli hrabia wypełni swoją groźbę i utrudni mu sprzedaż obrazów.

Zdała sobie naraz sprawę, jak okrutne z jej strony było zatrzymywanie Pierre'a, skoro powiedział, że musi odejść. Nie rozumiała, dlaczego nie mógłby się z nią widywać, przynajmniej dopóki ona i ojciec nie wyjadą z Francji, lecz wiedziała, że Pierre ją ma przede wszystkim na względzie, nie zaś siebie, i że jest od niej mądrzejszy.

Pierre widać zauważył, że pogodziła się z losem, bo powiedział:

— To co przeżyliśmy, było cudownym snem. Pożeglowaliśmy na skrzydłach ekstazy do krainy czarów,, gdzie znaleźliśmy miłość, której szukają wszyscy mężczyźni i kobiety, choć ta często im się wymyka.

W jego głosie brzmiał smutek. Simonetcie zebrało się na płacz.

— Kiedy będziemy starzy — ciągnął Pierre — wrócimy pamięcią do tej cudownej chwili naszego życia, wspomnimy światło na skałach i pomyślimy, że dostąpiliśmy łaski, bo dane nam było nie tylko je widzieć, ale czuć je i na zawsze zachować w naszych sercach.

— Kocham... cię... Pierre!

— I ja cię kocham, moja najdroższa mała Wenus.

Spojrzał na nią i Simonetta pomyślała, że zaraz ją pocałuje. Ale on pomógł jej tylko wstać, po czym objęci ruszyli powoli ku drodze.

Dopiero gdy znaleźli się kilka stóp od ścieżki, Pierre zatrzymał się w cieniu drzew i rzekł miękko:

— Spójrz na mnie, Simonetto! Dziewczyna odwróciła się w jego stronę i uniosła twarz. Jej oczy były wielkie i zaleknione, a wargi lekko drżały. Pierre przyglądał jej się długą chwilę.

— Jesteś taka piękna! — powiedział wreszcie. — Tak niesamowicie, niedorzecznie piękna! Nie potrafię znieść myśli o tym, co przyniesie ci przyszłość.

Simonetta nie była w stanie nic odpowiedzieć, stała bez ruchu, a jego słowa wprawiały ją w drżenie.

Pierre mówił głębokim, pełnym uczucia głosem i serce Simonetty zaczęło szybciej bić, niemal tak szybko, jakby mężczyzna ją całował.

— Obiecuj mi — poprosił artysta — że gdziekolwiek pojedziesz i jakkolwiek potoczy się twoje życie, będziesz pamiętać o miłości, którą tu znaleźliśmy, że na zawsze zachowasz piękne wspomnienia i nie poślubisz człowieka, którego nie pokochasz całym sercem.

Czekał na jej odpowiedź, więc Simonetta zdołała wyjąkać:

— Obiecuję...

Wtedy nie odrywając wzroku od jej twarzy, Pierre powoli objął dziewczynę i przyciągnął ją do siebie. Nie pocałował jej w usta, jak się spodziewała, lecz najpierw przesunął wargi po jej czole, oczach, delikatnych policzkach i małym ostrym podbródku.

Wreszcie pocałował ją w usta inaczej, niż robił to dotąd. Simonetcie zdało się, że to nie ich wargi się stykają, lecz same dusze.

Nagle Pierre puścił dziewczynę i rzekł chrapliwie:

— Odejdź szybko, kochana, dopóki jeszcze mogę ci na to pozwolić. Niech Bóg zawsze ma cię w swojej opiece.

Odwrócił się i zaczął iść ku sztalugom. Simonetta wiedziała, że to rozstanie na zawsze i nie pozostało jej nic innego, jak tylko odejść. To co przeżyła, i sposób, w jaki Pierre narzucił jej swo-jawolę, wprawiło ją w stan odrętwienia. Przeszła przez żywopłot z lawendy, wiedząc, że robi to po raz ostatni. Potem ruszyła w stronę domu. Dzień był jasny i gorący, lecz Simonettę przenikał chłód i czuła się tak, jakby po omacku brnęła przez gęstą mgłę. Mrok, który zapanował w sercu dziewczyny, zaczął ogarniać jej myśli, aż zupełnie pogrążyła się w ciemności, gdzie nie dociera żaden promyk światła.

Simonetta nie pamiętała dokładnie, co się stało później. Zdaje się, że leżała na łóżku.

Cierpiało jej ciało i dusza. Czuła się tak, jakby powoli lecz nieodwracalnie konała jakaś część jej samej. Później chyba powiedziała sobie, że życie musi toczyć się dalej, więc należy się przebrać i wrócić do ojca.

Długo wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze, które wisiało w sypialni. Zdawało jej się, że nagle bardzo się postarzała. Pomyślała, że odejście Pierre'a pozbawiło ją całej urody i jej twarz zmieniła się, bo uszło z niej życie. W rzeczywistości jednak wyglądała tak jak zawsze. W uszach dźwięczał jej głos Pierre'a: „Jesteś tak niewiarygodnie, bezprzykładnie piękna!” Dziwiła się samej sobie, że nie płacze.

Może płacz miał przyjść później, teraz jej oczy były suche. Jednakże serce Simonetty zamieniło się w bryłkę lodu niezdolną do doświadczenia czegokolwiek poza bólem. Wreszcie wstała z za toaletki, włożyła kapelusz i zeszła na dół, by wziąć swój ledwie zaczęty obraz, pudło z farbami i paletę. Wyjście z domu nie było już dla niej radością, lecz męczącym obowiązkiem. Nagle ku swemu zdziwieniu zobaczyła, że do ogrodu wchodzi ojciec. Poczekała, aż się do niej zbliży, po czym zapytała:

— Papo... co się stało? Dlaczego... tak wcześnie wróciłeś?

— W rzeczy samej jest już dość późno — odparł książę. — Wracałem właśnie do domu, kiedy spotkałem posłańca z telegramem.

— Z telegramem?

— To przykre, niezmiernie przykre, ale obawiam się, że jutro rano będziemy musieli wrócić do Anglii.

— Ale... dlaczego?

— Telegram przyszedł z Izby Lordów — wyjaśnił książę.

Minął Simonettę i wszedł do domu, by odstawić płótno i farby.

— Czy... coś się stało?

Simonetcie z trudem przychodziło zadawanie pytań i słuchanie tego, co mówił ojciec.

— Ze też to musiało się stać właśnie teraz! — ciągnął książę wyraźnie niezadowolonym głosem.

— Przed wyjazdem obiecałem premierowi, że jeśli Izba Gmin przyjmie jego projekt nowej ustawy o szkolnictwie, przedstawię go Izbie Lordów.

Simonetta milczała. Książę z trzaskiem postawił na podłodze sztalugi i stołek.

— Byłem pewny — ciągnął — że już po pierwszym czytaniu Izba Gmin odrzuci projekt ustawy, tymczasem przeszedł, więc muszę wracać. Nie mogę postąpić inaczej.

— Oczywiście... papo.

Dziewczyna czuła się tak, jakby jej głos nie dobywał się z jej własnych ust, lecz dochodził z daleka. Myślała jedynie o tym, że podobnie jak Pierre opuszcza Les Baux i musi go o tym powiadomić. Słuchając poirytowanego głosu ojca zdała sobie sprawę, że nie należy rozdrapywać ran. Gdyby ukochany na nowo musiał przeżywać gorycz rozstania, ogarnęłoby go jeszcze większe przygnębienie.

Pierre nigdy się nie dowie o moich losach

— pomyślała Simonetta.

Wiedziała jednak, że to samo dotyczy jej. Chociaż nie opuści żadnej wystawy i będzie przeglądać wszystkie gazety i czasopisma, by znaleźć choćby wzmiankę o ukochanym, nic to nie zmieni: utracili się na zawsze, jakby umarli. Posłuszna poleceniu ojca poszła do sypialni, żeby spakować podróżny kufer. Z dołu dobiegły ją odgłosy krzątania ojca. On także się pakował. Kiedy księżę zawołał córkę na obiad, ta nie uporała się jeszcze ze swym ubraniem: kilka sukienek pozostało w szafie.

Słońce stoczyło się już za horyzont, lecz szczyty skał lśniły nadal jaskrawym blaskiem. Pograżona w ponurych rozmyślaniach Simonetta z początku nawet tego nie zauważyła. Teraz na ich widok przejął ją ból, jakby ktoś wbił jej sztylet w serce. Przed jej oczami pojawił się wyrazisty obraz Pierre'a. Mało brakowało, by na głos powiedziała jego imię. Odwróciła się od okna i zeszła do saloniku. Postanowiła nie patrzeć więcej na światło. Maria jak zwykle ugotowała przepyszną kolację, lecz Simonetta nie była w stanie docenić smaku potraw. Równie dobrze mogłaby jeść piasek.

Słuchając ojca miała wrażenie, że jakaś obca osoba grzecznie odpowiada na jego pytania, podczas gdy ona opuściła ciało w poszukiwaniu ukochanego mężczyzny, by na kolanach błagać go, żeby jej nie opuszczał.

— Simonetto — rzekł pod koniec obiadu ojciec — spędziliśmy razem przyjemne wakacje. Cieszę się, że wziąłem cię ze sobą.

— Miło mi... papo.

— Musimy jeszcze kiedyś wybrać się na wspólną wyprawę — ciągnął książę. — Spodziewam się jednak, że po debiucie w Londynie, kiedy rzucisz się w wir życia towarzyskiego, nie będziesz już miała czasu dla swego ojca.

— Papo, wiem, że... zawsze będę chciała... być przy tobie.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek pragnęła być blisko ojca. Kochała Pierre'a i nie była w stanie znieść myśli, że mogliby rozmawiać z nią inni mężczyźni, że mogliby z nią tańczyć i prawić jej komplementy. Już ich nienawidziła, bo nie dorastali do jej ideału, nie przypominali człowieka, któremu oddała serce.

— Nasza zabawa dobiegła końca — powiedział książę. — W drodze do Anglii musimy starannie zaplanować wszystko, co się tyczy twojego wystąpienia na dworze i balu, który zamyślam wydać pod koniec tego sezonu. — Uśmiechnął się i dodał: — Pewnie pomyślisz, że zachowuję się jak ambitna matka, ale moim zdaniem rozsądnie będzie ogłosić, iż wydam na twoją cześć bal. Przedtem odbędą się inne bale, na które otrzymasz zaproszenia z założeniem, że w zamian zaprosisz dziewczęta na wydaniu i ich matki.

— Jestem pewna, papo, że dobrze to obmyśliłeś.

— Moja droga — oświadczył z uśmiechem książę — nie ulega wątpliwości, że zrobisz za-

wrotną karierę. Na jakimkolwiek balu się pokażesz, zostaniesz jego królową!

— Postaram się.... papo... przez wzgląd na ciebie.

— Prawdę mówiąc — rzekł książę — i ja także wrócę do czasów młodości. Gdy ty będziesz tańczyć z kawalerami, którzy przypadną ci do gustu, rozejrzę się za atrakcyjnymi partnerkami.

Myśl ta najwyraźniej go rozbawiła.

Simonetta zastanawiała się, jak ojciec zareagowałby, gdyby mu powiedziała, że nie ma ochoty bywać na balach, że pragnie pozostać w Faringham Park i malować, bo w ten sposób będzie bliżej Pierre'a.

Papa by mnie nie zrozumiał — stwierdziła w duchu. A co powiedziała by, gdyby wyraźnie oświadczyła, że odrzuci wszystkie oświadczenia, nie przyjmie żadnej, nawet najbardziej korzystnej propozycji małżeństwa?

Jakże mogłabym poślubić innego mężczyznę — pomyślała — skoro należę do Pierre'a?

Pozwolić, by ktoś inny zajął jego miejsce w moim życiu, byłoby świętokradztwem.

Przewidywała, że czeka ją wiele trudności i przeszkód. Oczami wyobraźni widziała, jak kłóci się nie tylko z ojcem, lecz także z ciotkami, nawet z ciotką Hurriet.

Rodzina nigdy nie zrozumie, co czuję — pomyślała z rozpaczą. — Nigdy się o tym nie dowie. Gdyby wyznała prawdę, ojciec miałby sobie za złe, że zabrał ją za granicę, chociaż to nie z jego

winy Simonetta zupełnie zmieniła pogląd na życie.

Sądzę, że w pewnym sensie dorosłam — stwierdziła. — Przyjechałam do Les Baux jako dziecko. Teraz stałam się kobietą i cierpię tak, jak od wieków cierpią kobiety. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy królowe i księżniczki z dworów miłości nie zakochiwały się w trubadurach, którzy tworzyli dla nich pieśni i kładli u ich stóp swe serca. Ponieważ miłość, jaką do nich żywiły, była czysta i uduchowiona, zdarzało się zapewne, że czuły się zmuszone oddalić od siebie mężczyznę, do którego zaczynały się zbytnio przywiązywać. Albo może on sam okazywał się na tyle szlachetny, że odchodził z własnej woli. Dotychczas Simonetta traktowała dwory miłości jako wytwór fantazji. Ich mieszkańcy nie byli dla niej istotami z krwi i kości, które raz doznają szczęścia, kiedy indziej zaś są bezgranicznie nieszczęśliwe.

— Jesteś dziś bardzo milcząca, moja droga — zauważył książę.

— Myślałam o chwilach, które razem tutaj spędziliśmy — odparła zgodnie z prawdą Simonetta. — W pewnym sensie... pobyt w tym miejscu okazał się dla mnie... objawieniem.

— Co przez to rozumiesz? — zaciekawiał się książę.

— Les Baux sprawiło, że zaczęłam wszystko... głębiej odczuwać. Myślę, że... po tym pobycie... będę lepiej malować — odparła Simonetta szuka-

jąc odpowiednich słów dla wyrażenia swych przemyśleń.

Ojciec sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— I ja miałem taką nadzieję. Podejrzewam jednak, że z chwilą otwarcia naszego domu w Londynie na malowanie zostanie ci bardzo mało czasu.

Simonetta nie odpowiedziała. Kiedy z kuchni przyszła Maria, aby uprzątnąć naczynia, dziewczyna usiadła w fotelu. Bała się, że jeśli podejdzie do okna i ujrzy światło padające na skały, serce pęknie jej z żalu.

Księżę krzątał się po pokoju: pakował płótna i składał sztalugi, aby położyć je na kufrze. Obserwującej go Simonetcie przyszło na myśl, że ojciec wykazuje dużo samodzielności, wzięwszy pod uwagę fakt, iż w domu wszystkie te prace wykonują za niego kamerdyner i niezliczone rzesze służących. Zaniósłszy rzeczy do swej sypialni, księżę powiedział:

— Wybieram się do wsi, by zamówić powóz na siódmą rano. Musimy wyruszyć na tyle wcześnie, aby zdążyć na pociąg z Arles, który odjeżdża o jedenastej. Wieczorem powinniśmy być w Paryżu.

— Będę gotowa na czas, papo — rzekła machinalnie Simonetta.

— Jedno muszę ci przyznać — stwierdził księżę — że jak na kobietę jesteś punktualna, to zaś, mogę cię zapewnić, rzadka cecha wśród przedstawicielek twojej płci.

— Papo, wiem, jak bardzo się złościysz, gdy ktoś każe ci na siebie czekać — odparła Simonetta.

Ojciec uśmiechnął się do córki.

— Skoro już zamówię powóz, pójdę do gospody pożegnać się z przyjaciółmi. Długo tam jednak nie zabawię.

— Rozumiem, papo.

— Idź teraz do łóżka i śpij dobrze. Powiedziałem Marii, żeby nas zbudziła o szóstej.

Nie czekając na odpowiedź wyszedł z domu i zamknął za sobą drzwi.

Simonetta nie ruszyła się z miejsca. Siedziała w fotelu wiedząc, że na górze czeka na nią nie spakowany kufer. Czowała się nie tyle zmęczona, co pusta i pozbawiona chęci do życia, jakby to, co miało miejsce po południu, odebrało jej wszystkie siły i zostawiło jedynie cień dawnej Simonetty.

Maria hałaśliwie wkroczyła do saloniku.

— Czy czymś jeszcze mogę pani służyć, m'mselle, zanim pójdę do domu?

— Nie... dziękuję, Mario. Bardzo nam smakowały pyszne potrawy, które dla nas przyrządzałaś.

— Miło jest gotować dla ludzi, którzy doceniają moją kuchnię i jeszcze sownie za to płacą

— odparła Maria.

Simonetta uśmiechnęła się, lecz nic nie odpowiedziała.

— Niektórzy artyści zachowują się jak zwierzęta i pożerają wszystko, co stoi przed nimi na

stole. Są też tacy, którzy bujają w obłokach i nie widzą różnicy między ostrygą a ziemniakiem!— dodała wieśniaczka.

Simonetta zmusiła się do śmiechu.

— Wierzę ci na słowo, Mario. To właśnie znaczy mieć duszę artysty.

— To niech Bóg mnie od tego uchroni! — zastrzegła się Maria. — Chciałabym jednak jeszcze kiedyś gościć u nas panią i monsieur.

— Mam nadzieję, że wrócimy tu pewnego dnia.

— Powiadają, że kto raz był w Les Baux, ten tu wróci.

Simonetcie przemknęło przez myśl, że ona nigdy tu nie przyjedzie.

Była oczarowana, jednak nie za sprawą samego Les Baux, lecz dlatego że znalazła tu Pierre'a. Nie ulegało wątpliwości, że malarz rzucił na nią urok. Simonetta nigdy nie zapomni zaczarowanej krainy, do której zabrał ją i nikt nigdy nie wydrze z jej serca błogich wspomnień.

— Myślę, że to prawda, Mario — powiedziała.

Miała jednak świadomość, że jeśli nawet wróci kiedyś do Les Baux, nie zastanie tu Pierre'a. Artysta nie przyjedzie do Les Baux, bo ryzykowałby, że ponownie ją spotka. Poza tym może przecież malować w innej części Francji, o której ona nigdy nie słyszała. Na jego obrazach nie będzie Simonetty, tak jak w jej życiu nie będzie Pierre'a.

— *Bonsoir*, m'nselle — rzekła Maria podchodząc do drzwi prowadzących do kuchni.

— *Bonsoir*, Mario!

Gospoia pokrzątała się jeszcze chwilę, po czym skrzypnęły kuchenne drzwi. W ogrodzie dały się słyszeć jej ciężkie kroki. Maria zdążyła do furtki.

Gdy Simonetta została sama, odchyliła głowę na oparcie fotela, zamknęła oczy i wpadła w zadumę. Już samo myślenie o ukochanym sprawiło, że na nowo odżywał w niej ból po jego stracie. Mimo to nie potrafiła zająć umysłu czymś innym. Wróciła wspomnieniami do chwili, gdy po raz pierwszy się spotkali. Pamiętała, co sobie wtedy powiedzieli. Pamiętała też dziwne uczucie, jakiego doznała, gdy zaczęła dostrzegać w nim mężczyznę i tę chwilę, kiedy pragnęła, by ją pocałował, podczas gdy Pierre nie oglądając się na nią, ruszył w stronę domu.

— Nigdy w życiu niczego bardziej nie chciałam, niż żeby mnie wtedy pocałował — szepnęła do siebie Simonetta.

Potem na nowo przeżyła magię pierwszego pocałunku, kiedy unosiła się ku niebu, a rzeczywistość przeszła jej najcudowniejsze sny i wyobrażenia o miłości.

Rozumiała teraz, dlaczego miłość kazała mężczyznom toczyć wojny o ukochane kobiety, dlaczego kobiety bez wahania skakały w ogień za swoimi kochankami. Pojęła, jakby po wysłuchaniu

wykładu, co jest natchnieniem kompozytorów piszących muzykę, która elektryzuje słuchaczy, i co powoduje poetami wysławiającymi w wierszach umiłowane osoby; w wierszach, które od wieków fascynują inne kobiety.

Miłość! Miłość! Miłość!

Choć uczucie to było dla Simonetty rozkoszą i cierpieniem zarazem, dziewczyna wiedziała, że żaden człowiek nie żyje naprawdę, dopóki kogoś nie pokocha tak, jak ona pokochała Pierre'a.

Widocznie długo siedziała zatopiona we wspomnieniach, bo kiedy otworzyła oczy, była już noc, a pokój zalegał mrok. Niebo rozświetliło się gwiazdami, a na skałach zaśnił błyśnięcie księżyc. Simonetta nie była w stanie patrzeć na ten srebrny przepych: niedawno robiła to razem z Pierre'em. Powoli wstała z fotela. Postanowiła wrócić do sypialni, by dokończyć pakowanie. Chciała być gotowa, gdy rano zjawi się powóz. Wtedy zauważyła, że okno naprzeciwko jej fotela tuż obok frontowych drzwi jest szeroko otwarte. Uznała, że powinna je zamknąć. Była zdecydowana nie patrzeć na księżyc. Ruszyła do okna wyciągając przed siebie ręce, aby nie potknąć się o krzesła. Mimochodem pomyślała, że będzie musiała zapalić świece w sypialni. Nagle usłyszała chrzęst piasku pod kołami. Przemknęło jej przez myśl, że przybył powóz, który ma zabrać ojca i ją do Arles. Natychmiast jednak uznała to za absurd, gdyż do rana było jeszcze daleko.

Oparła łokcie na parapecie i wyjrzała przez okno. Ku swemu zdziwieniu ujrzała nadjeżdżający powóz. Ciągnęły go dwa konie, a na koźle siedziało dwóch mężczyzn. Kiedy powóz zatrzymał się przed bramą, jeden z nich zeskoczył z kozła i pobiegł otworzyć drzwi. Wtedy drugi człowiek wychynął zza krzaków, które rosły w tyle ogrodu. Oszołomiona Simonetta patrzyła, jak po grządkach kwiatów mężczyzna zbliża się do powozu. Nie widziała twarzy przybyszów, bo księżyc nie wznosił się jeszcze dostatecznie wysoko ponad wzgórze. Widać było jedynie zarys powozu i niewyraźne postacie mężczyzn.

Człowiek, który wyszedł zza krzaków, mówił szeptem, jednak pośród nocnej ciszy usłyszała jego słowa:

— Mężczyzna wyszedł, ale dziewczyna jest w domu, panie hrabio.

W pierwszej chwili Simonetta nie zrozumiała znaczenia tych słów, ale potem jej serce zamarło. Była w pułapce! Ogarnięta paniką zdała sobie sprawę, że mężczyzna w powozie to hrabia, a dwaj pozostali są jego służącymi. Przez chwilę nie mogła złapać tchu ani wykonać najmniejszego ruchu. Kiedy wreszcie w pełni dotarł do niej sens podsłuchanej rozmowy, padł na nią blady strach. Poczowała się jak rażona piorunem.

Hrabia powiedział, że zabierze ją ze sobą do Paryża i teraz właśnie przyszedł spełnić swoją obietnicę nie pytając Simonetty o zgodę. Dziew-

czyna z trudem powstrzymała okrzyk przerażenia. Nie była w stanie o niczym myśleć. Po chwili jednak rozsądek podpowiedział jej, że powinna znaleźć jakiś sposób ucieczki.

— Janie, podejdź do kuchennych drzwi — zarządził cicho hrabia — a ty, Gustawie, stań przy frontowych.

Wtedy Simonetta uprzytomniła sobie, że pozostało jej tylko kilka sekund na ucieczkę. W domowych pantoflach bezszelestnie odbiegła od okna i skierowała się ku schodom, ale zdała sobie sprawę, że w sypialni nie będzie bezpieczna.

— Och, Boże, pomóż mi! — modliła się. Naraz głos wewnętrzny podpowiedział jej, że ma tylko jedno wyjście. Weszła do sypialni ojca i ukryła się w małej łazience, gdzie zwykła się kąpać. Znajdowało się tam małe okno, które wychodziło na tyły domu.

Niewiele myśląc Simonetta otworzyła je, weszła na parapet i precyzyjnie się na zewnątrz. Dokonała tego z łatwością, ponieważ sama dosiadała swych koni, potrafiła wspinać się na drzewa i nawet kilkumetrowa brama nie stanowiła dla niej poważnej przeszkody. Okno nie było wysokie i kiedy zeskoczyła na miękką ziemię, usłyszała kroki jednego ze służących. Szedł po schodach do jej sypialni.

Simonetta co tchu w piersi wbiegła między rosnące za domem krzaki, które nieco dalej przechodziły w mały gaj złożony z drzew oliwkowych i cyprysów. Teraz musiała zwolnić z uwagi na

gęste podszybie leśne i drzewa, które zasłaniały światło. Szła z wyciągniętymi przed siebie rękami, aby nie uderzyć w pień. Jej stopy opląty wało zielsko i ciernie.

Starła się iść możliwie szybko. Bała się, że zaraz usłyszy głosy ludzi hrabiego. Na pewno za chwilę zauważą w łazience otwarte okno i odkryją, w jaki sposób wydostała się z domu. Serce biło jej jak młot. Wysuszonymi ustami z trudem łapała krótkie oddechy.

Jeśli hrabia mnie porwie — pomyślała — upłynie wiele czasu, zanim papa dowie się, co się ze mną stało.

Zaczynała żałować, że nie powiedziała ojcu, jak zachował się wobec niej hrabia i jakie miał względem niej zamiary. Księżciu nie spodobały się komplementy, jakimi zasypał ją de Laval, jednak przez myśl mu nie przeszło, że tak bardzo pragnął jego córki, iż gotów był ją porwać.

Zanim nadejdzie ratunek, mogą minąć całe tygodnie albo nawet miesiące — uświadomiła sobie Simonetta — a do tego czasu będzie już... za późno.

Niezbyt dobrze rozumiała, co oznacza owo „za późno”. Wiedziała tylko, że hrabia będzie ją dotykał i całował, a ponieważ jest silny, a ona mała, nie zdoła go powstrzymać. Ta wizja była tak potworna i obrzydliwa, a jednocześnie tak upokarzająca, że Simonetta postanowiła się zabić, jeśli tylko hrabia odważy się jej dotknąć. Nie miała jednak pojęcia, w jaki sposób odbierze sobie życie.

Dziewczyna była przerażona jak małe zwierzątko, które ucieka przed ścigającym je lisem lub wilkiem. Wiedziała, że musi biec i biec, dopóki nie padnie z wyczerpania. Gaj się kończył i Simonetta domyśliła się, że wkrótce dotrze na łąkę, gdzie była dziś po południu razem z Pierre'em. Przyszło jej na myśl, że może jakimś cudem artysta nadal tam będzie. Jednak z rozpaczą uświadomiła sobie, że to niemożliwe. Było zbyt ciemno, by malować; poza tym Pierre zapewne nie chciałby oglądać księżycy, bo jego światło przypominałoby mu o ich utraconym szczęściu.

W jakiś sposób musi jednak znaleźć Pierre'a albo ojca. W przeciwnym razie porwie ją hrabia

i będzie stracona na zawsze. Co mam... robić? — zadała sobie pytanie, gdy brnęła przez zarośla. — Dokąd mam... pójść? Zdawało jej się, że ciernie, które zaczepiają się o jej kostki, są sprzymierzeńcami hrabiego, że starają się ją zatrzymać i uwięzić. Gdybym została w domu, zamiast wyruszyć w tę szaloną podróż razem z papą, byłabym teraz bezpieczna — pomyślała i dostojna powaga Faringham Park zdała jej się rajem, którego już nigdy nie ujrzy.

Wkrótce wyszła z gaju i wpadła na łąkę, po której niedawno radośnie biegła na spotkanie z ukochanym. Dotarła do miejsca, w którym artysta zwykł rozstawiać sztalugi. Wtedy jakby w oddali usłyszała wołanie mężczyzny. Ten głos przejął ją nieopisanym lękiem. Z okrzykiem przerażenia

na oślepu puściła się biegiem ku świątyni miłości. Żywiła rozpaczliwą nadzieję, że pościg tam jej nie dosięgnie. W ostateczności położy się na kamiennej podłodze i może w mroku nikt jej nie zauważy.

Droga była ciężka, a każdy krok — ogromnym wysiłkiem. Kiedy więc dotarła do świątyni, z trudem chwyciła powietrze. Świątynia stanowiła chyba jedyne bezpieczne miejsce, do którego mogła się udać. Bała się jednak, że ktoś ją zobaczy, zanim zdąży się ukryć. Kiedy przekroczyła próg budowli, uprzytomniła sobie, że nie jest sama: ujrzała duży ciemny kształt. Krzyknęła z przerażenia. Wtedy nagle, tak nagle, że niemal nie mogła uwierzyć, że to prawda, objęły ją ramiona Pierre'a. Mężczyzna mocno ją przytulił i usłyszała jego głos, który zabrzmiał jak głos Boga zdążającego jej na ratunek:

— *Ma chćne*\ Moje kochanie! Co się stało? Simonetta nie była w stanie odpowiedzieć.

Mogła jedynie przyłgnąć do niego całym ciałem, mając jeszcze w pamięci strach, jaki przed chwilą przeżyła. Pierre wziął ją na ręce i wniósł ją do wnętrza małej świątyni. Potem posadził ją blisko siebie na kamiennej ławie.

— Co się stało? — spytał raz jeszcze z niepokojem w głosie. — Mów!

Simonetta nadal była wyczerpana i ciężko dyszała, jednak zdołała wydusić z siebie słowa:

— Hrabia...! — szepnęła nieswoim głosem.— Hrabia przyszedł do domu... żeby mnie... porwać!

— *Mon Dieu!* To nie do pomyślenia! — zawołał Pierre.

Zerwał się z ławki, lecz Simonetta, która zaczęła się teraz bać o niego bardziej niż o siebie, objęła artystę, by go powstrzymać.

— Nie... nie! — powiedziała. ^- On ma ze sobą... ludzi. Powiedział, że.... zabierze mnie do Paryża... i to właśnie... ma zamiar zrobić.

Powiedziawszy to uświadomiła sobie, że słudzy hrabiego mogą już teraz szukać jej w gaju i wkrótce tu dotrą.

— Szukają... mnie — dodała. — Znajdą nas... i mogą cię... skrzywdzić.

Pierre mocniej ją objął i zaczął coś rozważać w myślach.

— Nie sądzę, by tu nas znaleźli — rzekł po chwili — ale jeśli wyłonią się spoza drzew, na pewno ich zobaczymy. Mógłbym zabrać cię do wsi, ale chyba postąpiłbym niewłaściwie. Mówił tak, jakby głośno myślał. Simonetta, wciąż zdyszana, tuliła się do niego z ufnością. Już nie będzie musiała dalej uciekać, bo jest przy niej Pierre, który ją obroni.

Zauważyła, że artysta obserwuje gaj, i rzekła po chwili:

— A jeśli... obaj tu przyjdą?

— Poradzę sobie z nimi — odparł Pierre. — Chcę jednak walczyć z hrabią.

— Och... nie... nie wolno ci tego robić! — zaprotestowała Simonetta. — To ci przysporzy... kło-

potów... już teraz boję się, że... on w jakiś sposób... przeszkodzi ci w sprzedaży obrazów.

— Więc nadal o mnie myślisz?

— Jakże mogłabym myśleć o... kimkolwiek innym? — załkała Simonetta.

Pierre przygarnął ją bliżej.

— Nie mogę zrozumieć, jak do tego doszło.

— Mój... mistrz poszedł do... wsi zamówić powóz... jutro stąd wyjeżdżamy.

— Jutro? Nic nie wspominałaś o wyjeździe, gdy widzieliśmy się po południu.

— Bo to nagły, niespodziewany wyjazd..

Wyobraziła sobie, jak wielkie byłoby zdziwienie Pierre'a, gdyby ten dowiedział się, dlaczego ojciec musi wracać do kraju. Jednakże artysta o'nic nie pytał.

— To dobrze się składa — rzekł po chwili. — Kiedy wrócisz do kraju, hrabia przestanie cię prześladować.

— Tak... to... prawda — zgodziła się Simonetta.

Przyszło jej na myśl, iż Pierre nie ma pojęcia, jak trudno będzie hrabiemu uwierzyć, że rzekoma studentka, którą spodziewał się uprowadzić bez żadnych przeszkód, jest w rzeczywistości otoczoną opieką młodą damą i córką księcia.

— Jeśli tylko się do ciebie zbliży — ciągnął Pierre — masz natychmiast iść na policję, rozumiesz? Masz chyba jakichś krewnych, którzy zrobią to za ciebie?

— Tak... w Anglii... mam.... krewnych.

— Szkoda, że nie mogę z nimi porozmawiać. Powiedziałbym im, że powinni cię strzec jak oka w głowie. I nigdy więcej, ale to nigdy! Rozumiesz, Simonetto? Nigdy więcej nie wyjeżdżaj do Francji ze starszym panem, który nie potrafi zapewnić ci bezpieczeństwa.

— Jesteś niesprawiedliwy! — sprzeciwiła się Simonetta, czując, że musi ująć się za ojcem.

— Możliwe — zgodził się Pierre. — Lecz rzecz w tym, że jesteś zbyt ładna, moja mała Wenus. Zawsze znajdą się mężczyźni gotowi cię prześladować... — Zamilkł i dodał po chwili: — Och, Boże! Jak mogłem dopuścić do tego, co cię spotkało? Czy mogę cię teraz opuścić, by dzień i noc cierpieć męki myśląc, że zagraża ci ktoś taki jak hrabia i że możesz być tak przerażona jak teraz?

— Okropnie... okropnie bałabym się, gdyby... ciebie tu teraz nie było.

Podniosła głowę i spojrzała w stronę gaju. Światło księżyca zamieniło łąkę w lśniące srebrzyste jezioro. Wznoszące się po obu stronach skały przybrały ciemnofioletową barwę, jedynie ich szczyty jarzyły się jaskrawym blaskiem. Widok był piękny, lecz jednocześnie złowrogi. Dziewczyna przytuliła się mocniej do Pierre'a. Mężczyzna czuł drżenie jej wiotkiego ciała.

— Tak dalej być nie może, najdroższa — odezwał się głębokim przejmującym głosem. — Nie mogę cię opuścić. Muszę się z tobą ożenić, bo

jedynie w ten sposób zdołam ochronić cię przed ludzką podłością!

Simonetta nie spodziewała się usłyszeć czegoś takiego. Podniosła na Pierre'a zdziwione spojrzenie i na chwilę zapomniała o de Lavalu i jego sługach. Po chwili jednak uprzytomniła sobie, że chociaż Pierre powiedział jej właśnie to, co pragnęła usłyszeć z jego ust i chociaż jej duszę zalała fala radości, ona nie może przyjąć jego oświadczeń. Zanim jednak zdołała się odezwać, Pierre mówił dalej:

— Nie będzie ci łatwo być moją żoną. Chcę cię o tym uprzedzić. Nie rzucam słów na wiatr: będzie ci ciężko, może nawet poczujesz się nieszczęśliwa.

— Wziął głęboki oddech i dodał: — Przysięgam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby oszczędzić ci przykrości, chociaż zdaję sobie sprawę, że czasami to będzie niemożliwe.

— Nie rozumiem...

Chciała mu powiedzieć, że i tak nie może go poślubić, lecz te słowa uwięzły jej w gardle. Zarazem nie potrafiła opanować ciekawości, dlaczego Pierre sądzi, że będzie z nim nieszczęśliwa.

— Dlaczego miałabym być nieszczęśliwą?

— spytała.

— Jesteś Angielką, a trzeba ci wiedzieć, że francuskie rodziny nie są tak tolerancyjne jak angielskie i krewni potępiają mnie za to, że ciebie poślubiłem, a ponieważ będzie już za późno, by nie dopuścić do naszego małżeństwa, zrobią wszystko, aby dać ci do zrozumienia, że cię nie akceptują, bo życie, jakie wiodłaś, zanim się spotkaliśmy, jest im zupełnie obce.

Simonette niezmiernie zdziwiła jego odpowiedź. Sądziła, że Pierre opuszcza ją, bo nie chce narażać jej na ubóstwo, niekończące się trudności związane ze zdobywaniem środków na utrzymanie ze sprzedaży jego obrazów.

— Widzisz, moja śliczna — wyjaśnił Pierre — obawiałaś się, że hrabia utrudni mi sprzedaż obrazów, ale twój niepokój był zupełnie niepotrzebny.

— Dlaczego? — zapytała Simonetta.

— Ponieważ nie jestem artystą. Bywam nim tylko w wolnych chwilach.

— Nie... jesteś... artystą?... a ja myślałam...

— Uwielbiam malować — wyznał Pierre. — I pragnę, choć czasem boję się, że nigdy nie zrealizuję swych ambicji, zostać dobrym impresjonistą.

— Z pewnością nim zostaniesz.

Spuścił głowę i Simonetta czuła, że się uśmiechnął.

— Chcę, abyś tak właśnie myślała, i tylko twoja opinia się dla mnie liczy. Tak naprawdę, kochanie, byłoby dużo prościej, gdybyś poślubiła prawdziwego artystę — Pocałował ją w czoło i ciągnął dalej: — Wtedy musielibyśmy jedynie walczyć o przetrwanie starając się sprzedawać moje obrazy. Byłabyś dla mnie natchnieniem i zacząłbym w końcu malować tak jak Claude Monet, artysta, dla którego mam wielki podziw.

— I jak Sisley — dodała cicho Simonetta.

Przypomniała sobie piękny obraz, który widziała w *chateau* hrabiego. Na wspomnienie o de Lavalu wróciła do rzeczywistości, więc spojrzała z lękiem na łąkę. Było ciemno, lecz w świetle księżyca nie dostrzegła żadnych czających się w mroku ludzi. Widocznie nikt nie zbliżał się do świątyni.

— Zapomnij o hrabim — rzekł Pierre. — Teraz przyjął już do wiadomości, że cię utracił i na zawsze zniknie z naszego życia.

— Naprawdę... tak myślisz?

— Chociaż jest pewny siebie i zarozumiały, nie podejmie tak wielkiego ryzyka, by ścigać cię aż do wsi, gdzie jak sądzi, uciekłaś.

— Chciałabym wierzyć, że... masz rację.

— Porozmawiajmy o nas — powiedział Pierre. — Postanowiłem, że się z tobą ożenię, i nie odstąpię od tej decyzji. Pobierzemy się i choć moja rodzina nie jest tak straszna jak hrabia, z pewnością niełatwo będzie ci się z nią porozumieć. — Jego ramiona zeszywniały. — Razem stawimy im czoło i obiecuję ci, moja kochana, że w końcu ze swoją urodą, osobistym czarem i tą małą bystrą główką podbijesz ich serca.

— Nie jest dla mnie jasne... dlaczego mieliby... być źle do mnie nastawieni.

— To nie z powodu twojego charakteru. Dla mojej rodziny studentka sztuk pięknych jest zjawiskiem tak obcym i niegodnym ich uwagi, że gorzko będą mi wyrzucać nasze małżeństwo.

Simonetta wstrzymała oddech.

— To cudownie... że chcesz... mnie poślubić... Pierre... ty tego nie zrozumiesz, ale ja muszę ci odmówić!

Pomyślała, że zapyta, dlaczego odrzuca jego oświadczenia i gorączkowo zastanawiała się, co odpowie. Jednak Pierre Valery wybuchnął śmiechem i przygarnął ją bliżej do siebie.

— Znowu o mnie myślisz i kocham cię za to. Czyż ktoś może być bardziej szlachetny, mniej samolubny? Lecz zapewniam cię, że to zupełnie niepotrzebne.

Po raz pierwszy od chwili gdy ponownie się spotkali, ich wargi złączyły się. Pierre pocałował dziewczynę, a potem powiedział:

— Nie próbuj się sprzeciwiać. Jesteś moja i zamierzam cię poślubić. Zostaniesz moją żoną, kochanie, i niezależnie od trudności, jakie spotkamy na naszej drodze, kiedy przyjedziemy tutaj, magia naszej miłości sprawi, że zapomnimy o wszystkich, którzy będą chcieli nas skrzywdzić.

— Och, Pierre, ja... nie mogę wyjść za ciebie! — krzyknęła Simonetta. — Proszę... musisz mnie... wysłuchać.

— Dziś po południu — powiedział nie zważając na jej protesty — rozstałem się z tobą, bo miałem na uwadze twoje dobro i nie mogłem znieść myśli, że byłabyś nieszczęśliwa. Teraz wiem, że nie będziesz bezpieczna, jeśli nie zostanę przy tobie.

Simonetta chciała coś wyjaśnić, ale Pierre znowu zamknął jej usta pocałunkiem.

— Ponieważ wiem — dodał po chwili — że nie możemy żyć z dala od siebie, natychmiast się pobierzemy, a kiedy zostaniesz moją żoną, będę się tobą opiekował, będę cię kochał i adorował, póki starczy nam życia.

Złożona przez Pierre'a przysięga tak Simonettę poruszyła, że dziewczyna nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Wtedy ogarnęła ją rozpacz: musi wyznać Pierre'owi, że go oszukiwała i że choć bardzo go kocha i potrzebuje, nigdy nie wolno jej będzie go poślubić. Westchnęła głęboko, wiedząc, jak trudno będzie jej zacząć, lecz Pierre odezwał się pierwszy.

— Widzisz, kochanie — powiedział — nie jestem, jak sądziłaś, Pierre'em Valery.

Naprawdę nazywam się Montreuil, księżę deMontreuil!

Simonetta zamarła, jakby zamieniła się w kamień. Nie wierzyła własnym uszom, była pewna, że śni. Kiedy cisza, jaka między nimi zapadła, stała się nie do zniesienia, Pierre powiedział:

— Teraz poznałaś prawdę i nie chcę, żebyś dłużej się bała. Gdziekolwiek będziemy żyli i cokolwiek się z nami stanie, będziesz moją żoną i ja cię obronię.

Pochylił głowę, by odnaleźć usta Simonet-ty, lecz dziewczyna wydała z siebie okrzyk, który zabrzmiał niemal jak wybuch śmiechu. Nagle zaczęła płakać. Od dawna powstrzymywała łzy.

ROZDZIAŁ 7

— Już dobrze, kochanie. Już dobrze! — uspokajał ją Pierre, podczas gdy Simonetta bezskutecznie usiłowała opanować łzy.

Były to łzy ulgi; odeгнаły rozpacz, rozwiały smutek i ból, które dręczyły dziewczynę przez cały wieczór. W dodatku strach przed hrabią sprawił, że znajdowała się na skraju ludzkiej wytrzymałości. Teraz wszystko się skończyło i wprost nie mogła w to uwierzyć.

— Już dobrze — rzekł znowu Pierre. — Pobierzemy się i moja mała Wenus już nigdy nie będzie tak nieszczęśliwa.

— Jestem... szczęśliwa — zdołała wyjąkać Simonetta. — Jestem... szczęśliwa, Pierre... ale myślałam, że nie będę mogła... cię poślubić.

— Zostaniesz moją żoną i nigdy więcej nie pozwolę ci tak płakać.

Uniósł jej twarz ku swojej. Potem scałował łzy z jej oczu, policzków i wreszcie z ust. Dotknięcia jego warg przyprawiały Simonettę o dreszcze. Jej

ciało przenikał rozkoszny prąd i czuła się tak, jakby na nowo budziła się do życia. Znowu unosiła się ku niebu oszołomiona jego bliskością i cudownym uczuciem, że do niego należy. Kocham cię... kocham — śpiewało jej serce. Pierre odjął wargi od jej ust, a wtedy Simonetta mgliście zdała sobie sprawę, że musi mu powiedzieć, dlaczego teraz może go poślubić i kim jest.

— Pierre... — zaczęła.

W tej samej chwili na drodze dały się słyszeć czyjeś kroki.

Simonetta zeszywniała i poczuła, że zeszywniał również Pierre. Obojgu przyszło na myśl, że idzie ku nim jeden z ludzi hrabiego. Wtedy na drodze prowadzącej do wsi Simonetta ujrzała wysoką postać ojca. Natychmiast wyswobodziła się z ramion ukochanego i wyjrzała przez otwór w altanie.

— Papo! Papo! — zawołała cichym głosem, wciąż pełna obaw, że w pobliżu może być hrabia.

Poczuła, że Pierre zamarł. Tymczasem ojciec zatrzymał się w pół kroku.

— Papo! — zawołała ponownie, tym razem jeszcze ciszej.

— Simonetta? — zdziwił się książę. — Gdzie jesteś? Co tu robisz?

Simonetta wyszła ze świątyni. Ojciec przeszedł przez żywopłot z lawendy i stanął u jej boku.

— Co się stało? Dlaczego nie poszłaś spać?

Kiedy zza pleców Simonetty wyszedł Pierre, księżę spytał ostro:

— Kto to?

Simonetta wzięła ojca pod ramię.

— Posłuchaj, papo — powiedziała. — Kiedy poszedłeś do wsi, hrabia de Laval... przyjechał powozem ze swymi ludźmi i chciał... mnie... porwać.

Jej głos się załamał. Ojciec spojrział na nią z powątpiewaniem, jakby nie wierzył własnym uszom.

— Chciał cię porwać? — spytał podniesionym głosem. — Na Jowisza, co ty opowiadasz? Simonetta mocniej ścisnęła jego ramię.

— Nie tak głośno... papo! Hrabia i jego ludzie mogą... nadal być w pobliżu. Musiałam... uciec przez okno... bardzo się bałam... ale księżę de Montreuil... mnie obronił.

— Niewiarygodne! — rzekł ze złością księżę.

— To prawda, sir — odezwał się Pierre cichym głosem.

Stał na schodach wiodących do małej świątyni. Ojciec Simonetty zmierzył go wzrokiem.

— Jest pan księciem de Montreuil? W takim razie znam pańskiego ojca. Często wybieraliśmy się razem na konne przejażdżki.

Simonetta zauważyła zdziwienie, jakie odmalowało się na twarzy Pierre'a.

— Nie powiedziałam... księciu... kim jesteście — rzekła z lekkim rozbawieniem.

Jednak jej głos drżał, jakby za chwilę miała znowu się rozpłakać.

— Nie ma żadnego innego powodu, by się o tym dowiedział — odparł ojciec, niezadowolony, że skończyło się jego incognito. — Skoro jednak okazał się na tyle uprzejmy, że obronił cię przed tym łotrem, jestem mu niezmiernie wdzięczny.

— Ja... także — wyjąkała Simonetta.

— Dziękuję — zwrócił się książę do Pierre'a — i wprawdzie z żalem, bo nie chcę, by w Les Baux mnie poznano, wyznaję, że jestem księciem Faringhamu!

Na twarzy Pierre'a malowało się takie osłupienie, że Simonetcie zebrało się na śmiech.

Wprawdzie jedynie cichutko parsknęła, lecz dusza jej śpiewała pieśń wdzięczności, która uniosła ją ku gwiazdom, gdzie chóry anielskie jak trubadurowie sławiły miłość.

Simonetta stała w sypialni i spoglądała na swoje odbicie w lustrze, zastanawiając się, czy wygląda wystarczająco ładnie, by nosić nazwisko Pierre'a. Odesłała garderobianą i pokojówki, które ją ubierały, bo zbyt szybko się pospieszyła i ojciec nie był jeszcze gotowy, aby poprowadzić ją do kaplicy. Chciała zostać na chwilę sama, aby pomyśleć o czekającym ją szczęściu. Nie sądziła, że kiedykolwiek ziszczą się jej najskrytsze marzenia. Zdawało jej się, że jest bohaterką cudownej baśni, a wszystkie przeszkody, które stały na drodze do

jej małżeństwa zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Doskonale rozumiała, jak bardzo Pierre obawiał się gniewu i rozczarowania ze strony swojej rodziny decydując się poślubić studentkę akademii sztuk pięknych. Wiedziała, że jej ojciec równie kategorycznie odmówiłby zgody na jej małżeństwo z impresjonistą. Rodzina Pierre'a należała do arystokracji niezmiernie dumnej ze swego pochodzenia i przeczulonej na punkcie czystości krwi. Jeśli Simonetta przybyłaby na zamek w Normandii jako żona głowy rodu, członkowie rodziny de Montreuil zgotowaliby nieszczęsny los kobiecie, która, według ich mniemania, była tego niegodna.

Nie zniosłabym szyderstwa, pogardy i poniżenia nawet, jeśli Pierre nigdy nie odstępowałby mojego boku — pomyślała Simonetta.

Była jednak córką księcia z rodziny tak dostojnej w Anglii jak Montreuilowie we Francji, więc przyjęto ją z otwartymi ramionami. Krewni księcia de Montreuil nie kryli zadowolenia, że Pierre wreszcie się żeni i że zostanie zachowana ciągłość rodu, który wywodzi się od czasów Karola Wielkiego.

— To niesprawiedliwe — powiedziała Simonetta — bo niezależnie od nazwiska, jakie bym nosiła, zawsze byłabym tą samą osobą.

— Jestem pewny, moja droga — odparł Pierre — że w końcu moja rodzina pokochałaby cię. Jednakże natura ludzka jest, jaka jest, więc skoro możemy osiągnąć szczęście krótszą drogą, starajmy się to wykorzystać.

Simonetta roześmiała się, a potem rzekła:

— Kiedy ty postanowiłeś, że nie ożenisz się ze mną, ja z kolei wiedziałam, że nigdy nie wolno mi będzie poślubić Pierre'a Valery.

— Myślę jednak — powiedział Pierre — że gdyby nawet cały świat sprzysiągł się przeciwko nam, miłość i tak zatryumfowałaby, ponieważ nic nie jest w stanie dorównać jej mocy. — Objął Simonettę i dodał: — Osobiście gotów jestem na kolanach dziękować Bogu, losowi, a nawet hrabiemu, że w samą porę zdążyliśmy dowiedzieć się, że możemy zawrzeć małżeństwo z błogosławieństwem tych, którzy nas kochają.

Simonetcie wyrwał się lekki okrzyk.

— I pomyśleć tylko... że mogłeś już... wyjechać! Wtedy nawet jeśli hrabia nie... wywiózłby mnie do Paryża, papa zabrałby mnie... do Anglii... i nigdy już... nie zobaczyłabym ciebie!

Pierre przytulił ją do siebie tak mocno, że prawie nie mogła oddychać.

— Nie wolno ci o tym myśleć — zabronił jej, — Jesteś moja i jeśli kiedykolwiek spróbuje cię dotknąć inny mężczyzna, przysięgam, że go zabiję!

Po tych słowach zaczął ją całować namiętnie i żarliwie. Sprawiał jej ból, ale wiedziała, iż nagle przeraził się, że mógłby ją na zawsze utracić.

Trudno było wyjaśnić ojcu, że Simonetta kocha całym sercem księcia de Montreuil, który obronił ją przed hrabią, że pragnie poślubić człowieka, którego rzekomo spotkała po raz pierwszy.

Jej ojciec i Pierre najpierw sami ostrożnie wrócili do domu Gautiera, by sprawdzić, czy hrabia zaprzestał pościgu i wrócił do swego *chateau*. Gdy okazało się, że w domu panuje spokój, obaj mężczyźni oburzeni na niecny postępek de Laval'a szybko zostali przyjaciółmi. Co więcej, następnego ranka wszyscy razem wyjechali z Les Baux jednym powozem i tym samym pociągiem udali się w podróż do Paryża. Tam książę de Montreuil udał się do swego, jak przyznał, jedynie częściowo otwartego domu, natomiast książę Faringhamu nalegał, by on i Simonetta spędzili noc w tym samym skromnym hoteliku, gdzie nocowali w drodze do Les Baux.

— Nie życzę sobie spotkania z żadnymi znajomymi, kiedy jestem w takim stroju — wyjaśnił. — Poza tym pragnę zachować swoje incognito we Francji. W przeciwnym razie już nigdy nie będę mógł przyjechać tu, by malować razem z moimi przyjaciółmi impresjonistami, co zawsze sprawia mi wielką radość.

— Rozumiem — odparł Pierre z uśmiechem. — Mogłem się wiele od nich nauczyć dlatego, że przyjęli mnie do swego grona jako Pierre'a Valery. Nigdy w życiu nie potraktowaliby jak przyjaciela księcia de Montreuil.

Obaj mężczyźni roześmieli się. Kiedy doszło do pożegnania, Simonetta powiedziała:

—, Papo, książę bardzo chciałby zobaczyć obrazy w naszym domu. Może zaprosiłbyś go do Faringham Park, zanim pojedziemy do Londynu?

— Oczywiście — zgodził się książę. — Obawiam się jednak, że musi pan nas odwiedzić już wkrótce, bo na początku przyszłego miesiąca Simonetta ma być przedstawiona na dworze.

— Prawdę mówiąc — odrzekł Pierre — sam próbowałem wprosić się pod jakimś pretekstem do Faringham Park. Chciałbym obejrzeć pańską kolekcję obrazów, która znana jest na całym świecie. Niezmiernie interesują mnie także pańskie prace.

Książę był bardzo ukontentowany, a kiedy Pierre powiedział, że przybędzie do Faringham Park za cztery dni, nie zauważył blasku w oczach córki. Na szczęście nie zwrócił także uwagi, że Simonetta wsunęła rękę w dłoń Pierre'a, ten zaś ścisnął ją niemal do bólu.

Cztery dni później Pierre odwiedził Faringham Park i już pierwszego popołudnia Simonetta zabrała go na konną przejażdżkę, aby pokazać ukochanemu majątek. Zatrzymali się w lesie i przywiązali konie do powalonego pniaka. Potem patrzyli sobie w oczy, dopóki Simonetta nie znalazła się w ramionach Pierre'a, a ten uniósł ją z ziemi. Całowali się, aż zabrakło im tchu. Simonetta opuściła na chwilę ojczyste lasy i oczami duszy ujrzała światło, które zalewa skały w Les Baux.

— Kocham cię! Boże, jak ja cię kocham! — rzekł Pierre, gdy znowu był w stanie mówić.

— To nie może tak trwać. Wieczorem mam zamiar poprosić twego ojca o zgodę na nasz ślub.

— Ależ... to zbyt... wcześnie. Pierre westchnął.

— Zdawało mi się, że nie widziałem cię cztery wieki. Jeśli myślisz, że mogę wrócić do Francji i czekać, aż zostaniesz moją żoną, grubo się mylisz.

— Jestem pewna, że jeśli porozmawiasz z papą jako impresjonista — rzekła z uśmiechem Simonetta — uwierzy, że miłość od pierwszego wejrzenia jest tak samo możliwa jak fakt, że paleta impresjonisty nie zawiera czerni.

Pierre zaśmiał się, po czym odparł:

— Kochana moja, czy możemy być tak niewiarygodnie szczęśliwi, tak umiłowani przez los? Nie muszę się martwić, że moja rodzina uprzykrzy ci życie ani że twój ojciec uzna, iż jestem nieodpowiednią partią dla jego córki. — Pocałował ją i dodał: — W rzeczywistości naprawdę nie jestem ciebie godzien! Nikt na całym świecie nie jest wart tak pięknej i doskonałej osoby jak ty, moja mała droga Simonetto. Uwierz mi jednak, że żaden mężczyzna nie potrafiłby kochać ciebie bardziej niż ja.

— Och, Pierre, tak bardzo cię kocham i tak bardzo jestem ci wdzięczna. Proszę... pobierzmy się... jak najszybciej.

Z początku książę był niezmiernie zdziwiony, że sprawy przybrały tak szybki obrót. Jednakże Pierre zdołał go przekonać, iż nie zniósłby mąk zazdrości ani obawy, że podczas pobytu w Londynie Simonetta spotka kogoś, kogo pokocha bardziej niż jego. Książę był przekonany, że jego córka dokonała właściwego wyboru. Poza tym wiedział, że książę de Montreuil jest bardzo bogatym człowiekiem i właścicielem wielkich i znaczących majątków we Francji. W rzeczy samej Pierre był doskonałą partią i każdy rodzic życzyłby sobie mieć takiego zięcia. Wszystko to jednak nie miało wielkiego znaczenia wobec faktu, że Simonetta była głęboko zakochana i nigdy jeszcze nie widział jej tak szczęśliwej.

Tak więc w końcu książę poddał się. Pierre zapowiedział ślub w trzy tygodnie po tym, jak Simonetta pokłoni się królowej w Pałacu Buckingham.

Na ślub przyjechali z Francji krewni Pierre'a, ponieważ jednak byli katolikami, sama ceremonia miała odbyć się jedynie w gronie najbliższej rodziny w kaplicy należącej do Faringham Park. Kaplicę tę poświęcił niegdyś katolicki arcybiskup. Miało to miejsce w czasach, gdy posiadłość książąt Trench należała do klasztoru cystersów. Na mocy specjalnej dyspensy udzielonej przez papieża ślubu w kaplicy mógł udzielić kardynał Kościoła katolickiego, który przybył z Londynu na tę uroczystość.

W czasie trwania przygotowań Simonetta rzekła na osobności do Pierre'a:

— Ponieważ kocham cię, drogi Pierre, i ponieważ wiem, że to ucieszy cię i twoją rodzinę, po ślubie chciałabym zostać przyjęta do waszego Kościoła.

Przez chwilę mężczyzna spoglądał na nią z niedowierzaniem.

— Naprawdę? — spytał po chwili cichym głosem.

— Uważam, że... niezależnie od tego do jakiego Kościoła należymy... dla ciebie i dla mnie Bóg jest ten sam. Opiekował się nami, połączył nas i uczynił szczęśliwymi.

— Oczywiście Bóg jest jeden — odparł Pierre. — Kochanie, bardzo mnie wzruszyło, że chcesz zostać katoliczką.

— Pragnę robić to, co ty, wierzyć w to, co ty i razem z tobą chwalić Boga.

Pierre był tak przejęty, że jedynie podniósł do ust dłoń Simonetty.

— Nie mogę wprost znaleźć słów, by wyrazić, jak jesteś cudowna! — rzekł po chwili.

Teraz, patrząc na swoje odbicie w lustrze, Simonetta wiedziała, że choć w kaplicy będzie obecna tylko najbliższa rodzina, w sali balowej gromadzą się już goście zaproszeni na weselną ucztę. Było piękne słoneczne popołudnie, więc wielu z nich spacerowało w ogrodzie popijając szampana w oczekiwaniu na pojawienie się Pierre'a.

Na państwa młodych czekał już czterokondygnacyjny tort weselny, który kucharki przez ostatni tydzień z zapalem mroziły i dekorowały. W ogrodzie rozbito ogromny namiot, w którym robotnicy i dzierżawcy folwarku mieli pić piwo i jabłecznik oraz zjeść wielkiego pieczonego wołu, łeb świni i dziczyznę. Potem będą toasty i setki rąk uściska dłonie nowożeńców życząc im szczęścia i pomyślności.

Jednakże Simonetta myślała wyłącznie o chwili, kiedy razem z Pierre'em opuści Faringham Park i zostanie z nim sam na sam. Noc w drodze do Dovru mieli spędzić w domu, którego użyczyli im krewni Simonetty. Rano mieli przebyć kanał La Manche i dotrzeć do Francji. Pierre nie chciał jej zdradzić, dokąd następnie pojedą, lecz Simonetta domyślała się, że będzie tam światło, które oboje kochają, co oznaczało, że wybiorą się do Prowansji. Z pewnością nie odwiedzą Les Baux, bo wciąż żywe jeszcze było wspomnienie o de Lavalu. Simonetta podejrzewała jednak, że zatrzymają się niedaleko. Wtedy bezpieczna w ramionach męża będzie wraz z nim patrzeć na światło, które jak powiedział Pierre, poprzez oczy wstąpiło do ich serc i dusz i stało się ich niewidzialną częścią.

— Pierre... Jest taki cudowny! — wyszeptała Simonetta.

Rozległo się pukanie do drzwi. Ojciec czekał już na nią, by towarzyszyć jej w drodze do kaplicy.

— Już idę — powiedziała i opuściła welon. Opadł poniżej jej talii i zakrył tren z tyłu sukni. Simonetcie przez chwilę zdawało się, że wygląda jak duch. Miała nadzieję, że przypomina eteryczną postać, zjawę z innego świata, za którą wziął ją Pierre, kiedy po raz pierwszy przekroczyła próg świątyni miłości.

Na jej wargach rozkwitł uśmiech. Wzięła bukiet kwiatów i ruszyła do drzwi.

Było bardzo cicho. Pośród ciemności Simonetta odrzuciła prześcieradło i wstała z łoża z jedwabnym baldachimem. Boso bezszelestnie przeszła po grubym dywanie do okna i odciągnawszy ciężką aksamitną store, wyjrzała na zewnątrz. Przed nią roztaczał się cudowny widok. Ciemne sylwetki drzew rosnących po drugiej stronie jeziora rzucały fioletowe cienie, samo zaś jezioro przypominało ciekłe srebro pełne migoczących gwiazd, które się w nim odbijały.

Simonetta napawała się pięknem księżycowego świata. Nagle usłyszała głos Pierre'a:

— *Ma chérie*, pragnę cię.

— Myślałam, że śpisz.

— Jakże mógłbym spać, kiedy ty zajmujesz moje wszystkie myśli? — powiedział Pierre.

Z uśmiechem odwróciła się od okna, a wtedy blask księżycy utworzył aureolę wokół jej włosów i rozświetlił twarz. Pod przejrzystą koszulą nocną Pierre ujrzał zarys jej smukłego ciała.

— Podejdź tutaj — rzekł cicho.

— Nie. Chodź popatrzeć na światło księżycy. Jest takie piękne. Tak cudowne jak wtedy, gdy po raz pierwszy oglądaliśmy je razem w Les Baux.

Odwróciła się do okna i rzekła jakby do samej siebie:

— Światło księżycyca na zawsze pozostanie dla nas czymś bardzo drogim! Gdy siedzieliśmy u stóp zamku, byłam pewna, że uniosłeś mnie ku gwiazdom.

Nagle przestraszyła się, bo Pierre stanął u jej boku, chociaż nie słyszała, by wstawał z łóżka. Ramiona mężczyzny objęły ją, ona zaś oparła się o niego plecami.

— Spójrz! Czyż to nie piękne? — powiedziała.

— Patrzę na ciebie — odparł Pierre. — Jesteś najpiękniejszym widokiem, jaki kiedykolwiek widziałem! Ale jesteś też moją żoną i robię się zazdrosny, gdy nie myślisz o mnie.

Simonetta zaśmiała się.

— Stałbyś się zbyt zarozumiały, gdybyś wiedział, jak wiele o tobie myślę. I że nie potrafię myśleć o niczym innym.

— Lecz mimo to jesteś nieposłuszna — odparł Pierre. — Kazałem ci przyjść do łóżka.

— Chciałam popatrzeć na księżyc.

— Nie interesuje mnie księżyc, lecz ty, moja mała zachwycająca Wenus.

To mówiąc odwrócił ją ku sobie i znalazłszy ustami jej usta, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

Delikatnie położył ją na pościeli, a kiedy znalazł się obok, przygarnął do siebie i całował jej oczy, policzki, mały prosty nosek i na końcu usta. Poczuł, że dziewczyna mocniej się do niego przytuliła! zaczęła reagować na jego pieszczoty.

— Och, Pierre... Kocham cię! Nigdy nie myślałam, że miłość może być tak... wszechogarniająca... tak potężna... a zarazem tak... subtelna i... delikatna — powiedziała Simonetta z lekkim drżeniem w głosie.

— Nie boisz się, prawda, Kochanie?

— Jakże mogłabym się ciebie bać? Dajesz mi poczucie bezpieczeństwa. Wiem, że kiedy jestem w twoich ramionach, nikt nie może... mnie skrzywdzić.

— Chciałbym, żeby tak było — odpał cicho. Przesunąwszy rękami po jej ciele, powiedział:

— Nadal boję się, że możesz zniknąć, tak jak wtedy gdy cię po raz pierwszy zobaczyłem.

— A ja bałam się, że możesz... mnie opuścić, tak jak... próbowałeś — rzekła Simonetta. — Wtedy zostałyby mi tylko... wspomnienia... naszych chwil miłości.

Ton jej głosu powiedział Pierre'owi, jak bardzo cierpiała, gdy sądziła, że już nigdy go nie zobaczy. Czuł, że w sercu ukochanej pozostała niezabliźniona rana. Przygarnął Simonettę bliżej.

— Teraz wszystkie nasze chwile miłości zlały się w jedną, moja kochana, droga żono. Te chwile miłości, które każde z nas miało zachować

w swej pamięci, staną się jedną wielką chwilą, kiedy będziemy żyć razem i kochać się, i nic poza tym nie będzie ważne w naszym życiu. Czy wierzysz w to?

— Chcę w to wierzyć — odparła Simonetta. — Mimo to nawet dzisiaj, w dniu naszego ślubu... bałam się, że... coś nas rozdzieli... i że cię utracę.

Zamilkła i po chwili dodała:

— Albo że w ostatniej chwili... rozmyślisz się... i przestaniesz mnie kochać.

Pierre zaśmiał się i jego śmiech był jak promyk światła w ciemności.

— Och, moja słodka — powiedział — to niemożliwe. Prędzej gwiazdy spadną z nieba, prędzej księżyc zgaśnie, niż ja przestanę cię kochać. Czyżbyś zapomniała, że jesteśmy impresjonistami? Znaleźliśmy światło i od tej chwili jest ono nasze na zawsze.

— Na zawsze — powtórzyła szeptem Simonetta.

— Będę cię kochał, wielbił i adorował dzisiaj, jutro i przez całą wieczność, a światło w naszych duszach będzie jaśnieć coraz bardziej, aż w końcu zawiedzie nas do samego nieba.

Simonetcie wyrwał się cichy okrzyk.

— Och, Pierre, jeśli ty w to wierzysz.... ja wierzę w to także i Kocham cię! Kocham cię całym... sercem i duszą!

— I ja cię tak Kocham — odparł Pierre — i jesteś moja.

Przesunął wargami po delikatnym policzku żony i odnalazł jej usta.

— Twoje serce, dusza, twój cudowny bystry umysł i zachwycające ciało, wszystko należy do mnie, moja umiłowana!

Ich usta znowu się złączyły. Simonetta poczuła narastające w nim pragnienie i wiedziała, że to także część ich miłości. W jej wnętrzu rozgorzał płomień namiętności. Leżeli bardzo blisko siebie, ciało przy ciele, a blask księżyca za oknem zdawał się stapać ze światłem, które promieniowało z ich dusz i w chwili miłości wzlecieli ku niebu na skrzydłach ekstazy.